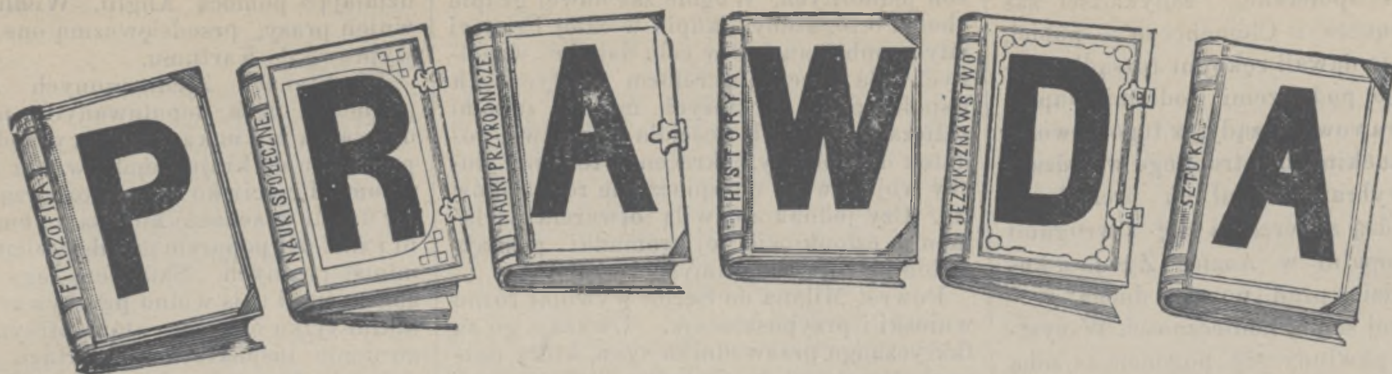
Nr. 33. Warszawa, dnia 18 (6) Sierpnia 1894 r. Rok XIV.



PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2. k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.



ZWROT WE FRANCYI.

Kiedy Périer został wybrany na prezydenta Rzeczpospolitej francuskiej, któryś z reporterów udał się na przedmieścia Paryża zasięgnąć języka, co myślą tłumy stolicy o nowym dostojniku. Odpowiedzi były różne, ale pod jednym względem zgadzały się z sobą: wszystkie mówiły, że Périer jest „jezuitą." To znaczy, że będzie usiłował nawiązać jak najlepszą zgodę pomiędzy państwem a kościołem. Obaw tych dotąd nie potwierdzono czynem odpowiednim, ale rzucane od czasu do czasu półsłówka, wreszcie cała taktyka dzisiejszego rządu francuskiego świadczą o tem, że polityka bezwarunkowo potoczy się w tym kierunku. Dzienniki ultramontańskie przecież nie ukrywały swojej radości na wieść, że Périer został powołany do steru władzy, i nie przestają ufać, że nowy prezydent, chociaż nie poprowadzi Francyi do Kanossy, w każdym jednak razie postara się zadziergać węzły jaknajserdeczniejszego stosunku pomiędzy państwem a Stolicą apostolską. Nadzieje są tak wielkie, że dostojnicy kościoła we Francyi, zamiast podburzać swoje zastępy, jak to dotychczas czynili, uważają za stosowniejsze występować z przestrogami, ażeby zanadto nie nalegano i nie spieszono gorączkowo. Świeżo potrzebę takiego taktu i umiarkowania podniósł biskup z Rochelle w rozmowie swojej z korespondentem jednego z wpływowszych organów stolicy. Zdaniem monsignora, kościół ma wszelkie powody z ufnością patrzeć na dobre zamiary najwyższego dostojnika Rzeczpospolitej. Naturalnie, zanim dojdzie do czegoś, trzeba uzbroić się w cierpliwość. Są bowiem sprawy, a w ich liczbie zatarg pomiędzy rządem we Francyi a kościołem, które dla załagodzenia wymagają powolności, bo wszelki pośpiech jedynie rozjątrzy stronę przeciwną i opóźni zgodę. Co do dobrych zamiarów prezydenta, o nich nie należy powątpiewać; na pewno nie będzie on zaostrzał stosunku obecnego, lecz, o ile można, postara się pobłażliwością swoją osłabiać przepisy istniejące. Skoro zaś pierwsze lody pękną, przyjdzie kolej na inne czyny. Ci wszyscy zatem, którzyby chcieli przynaglić rząd do pospieszniejszego działania, raczej krzywdę a nie przysługę wyrządzają kościołowi. Nastrój w sejmie i pomiędzy obywatelami kraju jest jeszcze dość wrogi i Périer, gdyby wystąpił żywiej, naraziłby łatwo siebie i swoją politykę. Upadek zaś jego byłby niepowetowaną porażką, bo w obecnej chwili niepodobna znaleźć męża stanu we Francyi, którzyby dawał kościołowi rękojmię tak niezawodną, jak następca Carnota.

Ale zapatrywania Casimir-Périera nie były tajemnicą dla tych, którzy go powoływali na najwyższą godność w Rzeczpospolitej. Wiedzieli oni wybornie, w jakie ręce powierzają ster władzy, co więcej — wybrali go właśnie dlatego, że jest taki a nie inny. Skłonność do zgody z kościołem jest prądem, nurtującym w całej tej grupie, która wysunęła naprzód prezydenta dzisiejszego. Stara gwardya Gambetty, wszyscy owi oportuniści, którzy jeszcze przed paru laty w tak komiczny, dziecinny sposób walczyli z księżmi, zmienili obecnie front i gotowi są przyłożyć skwapliwie swoje ręce do wzmocnienia powagi religijnej w kraju. Najwymowniejszego przykładu dostarcza Spuller, twórca tak sympatycznie przyjętego hasła, pod którem kroczył gabinet Périera za czasów sprawowania rządów — hasła nowego ducha." Ten bezwyznaniowiec z przed laty kilku odżegnywa się od dawnej zapalczywości przeciwko księżom, głosi tolerancyę wzajemną; termin ten ukrywa w sobie więcej, niż to, co oznacza; przemawia za złagodzeniem przepisów istniejących. Jego głosowi wtórzył zgodnie chór kolegów w gabinecie oraz mameluków oportunizmu w Izbie. Zwrot zaś taki w opinii mieszczaństwa liberalnego spotykamy nietylko pomiędzy przywódcami parlamentaryzmu i ciżbą posłów, idących za nim, jak barany. Jeszcze może silniej wzbiera on w społeczeństwie i nurtuje pomiędzy publicystami. Ekonomiści, odznaczający się we Francyi wyjątkową bezczelnością, którzy dbali ongi jedynie o prawidłową produkcyę dóbr materyalnych i prócz niej o niczem nie chcieli wiedzieć ani słyszeć, odwrócili dzisiaj na wspak swoje poglądy i zaczynają głosić, że dobrobyt narodowy wymaga nadto powagi duchowej, która byłaby sumieniem zbiorowem i ochraniała normalny podział bogactwa, stworzonego od przewrotów i kataklizmów.

A zatem na wszystkich posterunkach życia publicznego „nowy duch" znajduje głośny oddźwięk i licznych rzeczników; ateusze idą masowo do Kanossy! Wyzuci z uczuć wiary, głoszą przecież skruchę, bo zaczynają lękać się plonów z posianego przez siebie ziarna. Antagonizmy społeczne we Francyi podnoszą hardo głowę i znajdują przygotowany grunt w spuściznie historycznej; namiętności i zawiści klasowe burzą się i ścierają zajadle. Wypadki, których widownią jest ten kraj od niejakiego czasu, świadczą o tem, że walka rozognia się coraz silniej. Na odgłos burzy nadciągającej wszystko, co nie przesiąknęło fermentem przewrotu, skupia się w jedną olbrzymią partyę porządku społecznego i zapomina o waśniach wzajemnych: monarchiści wyciągają dłoń pojednania do republikanów, wolnohandlowiec darowywa urazy protekcyoniście, bezwyznaniowiec będzie chodził do komunii, a obywatel wiejski przebacza plutokracie jego arogancyę, ten zaś pierwszemu długi szereg przodków, którzy posiadają imię.

Izbę obecną powołano pod hasłami obrony stateczności społecznej, radykaliści zaś barwy Floqueta i Clémenceau — pobici, ponieważ nie dawali rękojmi rozsądku odpowiedniego; pod owemi godłami Dupuy i Périer sprawowali rządy; z tego powodu zamiast manekina bezstronnego w rodzaju Carnota, wybrany został na prezydenta pałający żądzą zmierzenia się z wrogami dyrektor kopalni w Aazin. Zgoda z kościołem, tudzież prąd „nowego ducha“ zrodziły się z tej samej konieczności. Wszystkie powagi powinny się pogodzić ze sobą we wspólnym interesie. *Ż.*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Pośród ciszy przed burzą posiedzeń i rozpraw jesiennych, wszelkie drobne sprawy, na które w okresie sensacyi i zdarzeń nadzwyczajnych nie zwróconoby najmniejszej uwagi, dziś rozpatrywane są pod drobnowidzem, setki razy powiększającym najmniejszy pyłek wypadków politycznych. To też i podróżą cesarza Wilhelma do Anglii prasa dziś zajmuje się więcej niż kiedykolwiek, chociaż ruchliwość, ciągłe wyjazdy monarchy niemieckiego już spowszedniały dla reporterów, chciwych żeru. To, co przechodzi niemal w zwyczaj, traci swój urok i nie pozwala wysnuwać wniosków przeróżnych. Starzy atoli wyjadacze dziennikarscy wołają: Nie lekceważcie wizyt cesarskich, bo w ich powszedniości tkwi silny węzeł, który zacieśnia coraz bardziej trwałą przyjaźń dwu państw. Za czasów Wilhelma I i Bismarka, przedzielały je mgły niezadowolenia, z których wyrastały chmury na widnokręgu spraw wschodnich i kolonialnych. Dziś stosunki się wygładziły i dzięki odwiedzinom monarszym, Caprivi zawarł z Anglią układ o rozgraniczenie posiadłości w Afryce wschodniej. To są początki, z których doświadczeni politycy (a przynajmniej uchodzący za takich) przewidują szereg innych wyników zażyłości, korzystnych dla obu stron.

We Francyi na tle ciszy parlamentarnej wyrosła nowa grupa. Kilkudziesięciu deputowanych ogłosiło deklaracyę, jako podstawę stronnictwa w przyszłości. Zadaniem jego będzie przeciwdziałanie rozdrobnieniu izby, a więc wzmocnienie dążeń jednolitych. Wogóle zaś nowej grupie chodzi o to, ażeby skupić w całej Francyi siły republikańskie w celu działań wspólnych dla ziszczenia reform politycznych i społecznych, do których między innemi zaliczają: rozdział kościoła i państwa, podatek dochodowy, skrócenie terminu służby wojskowej, ubezpieczenie robotników itd. Czy jednak z chwilą otwarcia parlamentu, członkowie tej gromadki poznają siebie i swoje programy?

Powrót Milana do Serbii wywołał różne wnioski i przypuszczenia. Uważają go za faktycznego przewodnika syna, który czuje zbyt mało sił do rządzenia krajem przy pomocy ministeryum bezbarwnego. To też wpływ i władza Milana rosną z dniem każdym. Młody król czuje największe zaufanie do partyi dworskiej, najsłabszej liczebnie. Po za nią stoją dwie inne: liberalna i radykalistów, z tych ostatnia nagle uczyniła krok niespodziewany, zmierzający do popierania rządu i dynastyi. Zmianę tę spostrzeżono po powrocie Pasicza do Serbii, z którego wyjaśnień widać, że radykaliści nie tylko pogodzili się z istniejącym porządkiem rzeczy, lecz nawet poprzednie wygnanie Milana nazywa „wielką omyłką.“ Czy się w tem nie kryje jaka sprężyna interesów, która nagłym ruchem zmieni chorągiewkę przy sposobności, trudno dziś przewidzieć. Z powyższego zwrotu *Birż. Wied.* wysnuły następujące wnioski: „Polityka, oparta na pogodzeniu się z partyą radykalną, prawdobnie znajdzie przyjazne echo w Wiedniu, gdzie radykałów uważają z punktu widzenia austryackiego za mniej niebezpieczny żywioł dla interesów Austryi na półwyspie Bałkańskim, niż partyę liberalną, marzącą o wskrzeszeniu „Wielkiej Serbii.“

Europa coraz baczniej i niespokojniej patrzy na wojnę chińsko-japońską. Dotychczas Japonia zwycięża, a w miarę powodzenia wzrasta zapał śród jej wojska. Jedną z pomyślnych dla niej była bitwa pod Asanem, leżącym na drodze wzdłuż wschodniego wybrzeża Korei z Kangjiu do Seul. Siły japońskie na Korei rosną z dniem każdym. Według doniesień telegraficznych, przed paru dniami przybyło tam nowych 20,000. Na morzu japończycy zaatakowali silny port Wei-Hai-Wei, uzbrojony przez anglika, organizatora artyleryi chińskiej. Wzięcie tej wielkiej strażnicy, strzegącej morza Żółtego i ujść Peiho, tudzież zdobycie oszańcowań pod Taku, leżących w pobliżu Pekinu, groziłoby chińczykom utratą stolicy.

W Afryce Włochy po zdobyciu Kassali, działają z pomocą Anglii. Według zapewnień prasy, przedsięwezmą one wspólną wyprawę do Kartumu.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej izba deputowanych niedawno uchwaliła bil, nakazujący wychodźcom po przybyciu do kraju, meldowanie się konsulom. Przeciwko tym rozporządzeniom wystąpili w senacie komisarze emigracyjni i znaleźli poparcie przedstawicieli władz ministeryalnych. Skutkiem tego wniosek zmieniono i dziś wolno przybywać do Unii takim tylko osobom, które otrzymały pozwolenie inspektorów w portach emigracyjnych. Anarchiści i inni szkodliwi przychodźcy, mają być z powrotem odsyłani kosztem Stanów Zjednoczonych. Jeśli przyjadą po raz drugi, skazani będą na karę więzienia.



SZKICE ATNROPOLOGICZNE.

Przeszłość w teraźniejszości. — Symbolika barw i dotychczasowa nieumiejętność jej wytłomaczenia. — Nowsze prace. — Filozofia czeroków i znaczenie w niej języka kolorów. — Tamtejsze zwroty mowy i przeżytki ich w naszym języku. — Symbolika barw w związku z dziennym obrotem ziemi około słońca.

W każdej komórce mózgu naszego siedzi przodek daleki i dziki. Sami o tem nie wiedząc, hołdujemy jego poglądom na przyrodę, postępujemy według jego zasad, wyznajemy jego filozofię. Czyny życia naszego są przetykane nićmi odległej przeszłości; przystosowały się one tam i swoją odmienną barwą nie psują wrażenia harmonii tylko dlatego, że nasze oko w powodzi codzienności utraciło swoją ostrość i najwięsza niedorzeczność nas nie oburza, skoro do niej przyzwyczailiśmy się od dzieciństwa. Spowijamy rączęta niemowląt, nieświadomi tego, że pielęgnujemy najniedorzeczniejszą spuściznę po czasach, kiedy prababka w jakiemś setnem pokoleniu w ten sposób dziecko przyczepiała do swego grzbietu; używamy w mowie wyrażeń: „przyszedł do siebie,“ „ściana się poci,“ które, zgodne z filozofią pradziada dalekiego, dzisiaj są niezrozu-

---

2)

MAX NORDAU.

JAK KOCHAJĄ KOBIETY.

Można było zaśmiać się na śmierć. Helena umyślnie mówiła bardzo prędko, aby nie mógł podążyć za nią Taneman, który wyobrażał sobie, że świetnie umie po francusku. Siniał ze złości, że ją ciągle musiał prosić, aby dwa, trzy razy powtarzała jeden wyraz. Co za wesołe śniadanie na trawniku wśród ruin!

— Tyś miał dwie butelki wina w kieszeniach.

— A ty szynkę i kurę. Helena w koszyczku chleb z masłem i nakrycia. Taneman miał pomyśleć o deserze. Kiedy jednak doszło do tego, utrzymywał, że zaszło nieporozumienie i że mu nic nie powiedziano.

— Ciągle jeszcze jest tym samym niedołęgą, co wówczas.

— Czy i tym samym żakiem? Ilekroć Helena cię pocałowała, odwracał się z oburzeniem.

— Helena tego dnia bardzo była zakochaną. I co za raka ty spiekłeś, gdy powiedziała, że do zupełności zabawy brak tylko, abyś i ty wziął sobie przyjaciołkę.

Zygmunt westchnął głęboko.

— Tak, było się młodym! — zakończył Wilhelm.

— Ty wiesz przynajmniej, żeś był młodym. Pozostają ci piękne wspomnienia, których nic i nikt wydrzeć nie może.

„Wer je geliebt in Libesarmen,
Der kann im Leben nie verarmen;
Und müsst' er sterben fern, allein,
Er fühlte noch die sel'ge Stunde.
Wo er geliebt an ihrem Munde,
Und noch im Tode ist sie sein.“

— Twoje? — zapytał Wilhem.

— Ale, cóż znowu? To nie poezya matematyka. To starego Storma.

— Prawdziwie poczute, choć wyrażone trochę słabo. Wspomnienia rzeczywiście są bogactwem, jakkolwiek smutno rozgrzebywać te skarby.

— Powiedz mi, Wilhelmie, co się stało z Heleną?

— Prawdopodobnie powodzi się jej bardzo dobrze.

— Nie wiesz o tem?

— Powiem ci, co wiem o niej. Miałem wtedy, jak może sobie przypominasz, pojechać do Hiszpanii w sprawie kopalni miedzi. Musiałem zrzec się tej myśli, ponieważ nie chciałem Heleny zostawiać samej. Dziecko nasze umarło po sześciu tygodniach. Cobym dziś dał za to, gdybym miał tego chłopca! Wówczas uważałem śmierć jego za rozwiązanie węzła. Powiedziałem Helenie, że wyjazd mój do Huelvy jest niezbędny. Chciała pojechać ze mną. Było to niemożliwe. Nastąpiły sceny pełne roznamiętnienia, alem się wyrwał. Przyrzekła mi, że wróci do ojca swego w Donai i dotrzymała słowa, gdyż przez krótki czas listy jej nadchodziły stamtąd.

— Więc pisywaliście do siebie?

— Tak, z początku. Po pewnym czasie znów przybyła do Paryża. Na usprawiedliwienie swoje pisała, że nie mogła dłużej wytrzymać w martwem Donai, przy boku ojca, starego zrzędy. Potem zawiadomiła mię listownie, że wychodzi za kupca win, który nie zważa na jej przeszłość.

— Tam, do dyabła!

miało w swojej istocie — zatraciliśmy czucie tego, co tkwi w takich wypowiedzeniach; w tyle u surdutów nosimy guziki, których przeznaczenia wytłomaczyć nie umiemy, chociaż najniepotrzebniej usadowiły się one na tem miejscu. Robimy to wszystko, bośmy tak zostali wychowani: nauczono nas mieć niepotrzebne guziki i używać wyrażeń, niby znaków algebraicznych. Ale oko, które nieco zapoznało się z atmosferą ludów pierwotnych i wyćwiczyło w spostrzeżeniach, zaczyna w tej kanwie życia codziennego rozbierać nici pojedyncze; każda została wpleciona w innym okresie dziejów. Analiza ta bywa niekiedy łatwą, ale częściej trudną. Są działy życia, tak uporczywie kryjące swoje pochodzenie, że nawet folklorzysta zaczyna łudzić się niedorzecznem mniemaniem, jakoby nie miały początku, to znaczy nie posiadały zwartego a logicznego rodowodu. Nitka pozornie rwie się w każdem pokoleniu i na nowo zostaje związaną, dany objaw jakby wciąż odradza się ze swych popiołów, istnieje lecz bez ciągłości. Do jednego z takich zakątków zajrzymy obecnie, idąc za tym kagankiem światła, który wnoszą do nauki etnograficznej uczeni agenci fundacyi Smithsońskiej, w taki wydajny sposób prowadzący dzieło, rozpoczęte przez ziomka swojego, Morgana. Na myśli mamy dzisiaj symbolikę barw.

Do ołtarza idziemy w bieli, za orszakiem pogrzebowym w czerni. Młodzian ofiarowywa bogdance kwiaty różowe, które barwą swoją winny świadczyć o jego uczuciach, kolor zielony mówi o nadziei, żółty jest wyrazem zazdrości, wstęgi błękitne nosili rycerze na turniejach, jako znak stałości uczuć. Barwa niekiedy wszechwładnie panuje nad naszymi postępkami i niejedna krnąbrna emancypantka, która roztrząsa prawo żelazne*) i poradziła sobie z różnymi „przesądami,“ nie odważy się sprzeniewierzyć białej sukience ślubnej. Rozumie się, niema zjawiska bez przyczyny. I owa niewinność bieli i żółtość zazdrości, błękit stałości i czerń żałoby — przypuszczano — mają swoje źródło. Wzięto się nawet do symboliki porównawczej, ażeby tą drogą dojść do tajemnicy. Albowiem, jak świat długi i szeroki, tak ogólną jest mowa barw. Australka wprawdzie nie nosi sukienek, ale równie umie używać tego języka: nakłada farby na swoje nagie ciało, maluje się na biało, czerwono — wogóle na te barwy, do jakich znajduje materyał gotowy w otaczającej ją przyrodzie. W ten sposób żałobę i radość miewa ona wypisane na swoim grzbiecie i kibici. Ale mimo porównywania, nie odkryto źródła symboliki, spostrzeżono jedynie pewne podobieństwo; np. niektóre barwy w wielu miejscach wyrażają ten sam stan duszy ludzkiej. Zrozumiano więc, że działa jakaś przyczyna, ale nie mogąc dotrzeć tajemnicy, zaspokojono się „najlepszem“ wytłomaczeniem, że symbolika wysnuwaną bywa bez podstaw głębszych, stanowi ona ową nitkę w całokształcie kultury ludzkiej, która wciąż jest zrywaną i nawiązywaną. Inaczej być nie mogło wobec tej zdawkowej znajomości, jakąśmy posiadali o ludach pierwotnych. Kiedy jednak pojawiły się studya systematyczniejsze, naówczas zmrok taki począł się rozpraszać i dzisiaj, po badaniach Cushinga, Mooney'a i in. śmiało możemy powiedzieć, że symbolika barw nietylko nie jest dziełem przypadku — o czem wiedzieliśmy dawniej — ale też zgoła nie jest równie rwącą się nitką. Przeciwnie, stanowiła ona jedną z podstaw pierwotnego poglądu na świat, wiąże się nierozerwalnie z innemi jej stronami, dzisiejsza zaś nasza mowa barw jest jedynie rozszarpanem pasmem strzępów, które, mimo że „racyonalna“ tj. uświadamiana przyczyna oddawna przestała działać, przecież istnieją w ciągu tysiącoleci i wplatają się w nasze życie. Idąc do ślubu w białej sukience i pisząc parę wyrazów na różowym bileciku, nieświadomi pierwotnych pobudek takiego kroku, hołdujemy filozofii praprzodka dzikiego. Przyjrzyjmy się więc dawnemu znaczeniu obchodzącej nas symboliki.

Jako pole dla tego wkrzeszenia przeszłości, bierzemy plemię czeroków w Ameryce północnej, zbadane przez J. Mooney'a, młodego a tyle obiecującego pracownika, którego drobne szkice, mieszczące się na paru stronicach, więcej dają nauce, aniżeli olbrzymi tom pierwszy socyologii Spencera o początkach religii. Przyroda jest tam rządzona przez bóstwa-zwierzęta, które zsyłają klęski, choroby, powracają zdrowie, dają sprężystość mięśniom a deszcze polom i mają w swej mocy szczęście ludzkie. Olbrzym-pająk jest panem życia i śmierci, w swojej pajęczynie nadziemskiej snuje nitkę każdego żywota, a kiedy przyjdzie mu fantazya, zrywa ją. Żółw sprowadza mgły, wąż deszcze. Każda choroba pochodzi od innego zwierzęcia; jeżeli ją wywołała przepiórka stepowa, naówczas wzywa się sokoła, ażeby rzucił postrach na nią i zmusił do odwrotu. Oprócz olbrymapająka i olbrzyma-sokoła, jest owych sił tyle, co okolic świata. Ale najlepiej przytoczymy leczenie jakiejś choroby, to nam da pojęcie o filozofii i zarazem o symbolice barw czeroków. „Usłysz nas i wysłuchaj — woła znachor czerocki, gdy ktoś zwróci się do niego o pomoc przeciwko bólowi zębów — ty, Czerwony Pająku, który przebywasz w ziemi słońca, spuść się po czerwonej nitce z góry i zabierz robaka-napastnika, który jest w zębach, wszak ty go pożerasz, to twoje jadło!“ Pająk ów, niewidzialny, przybywa i wygania intruza, który ból sprawia. Ale robaka tylko pewną część usunął. Znachor więc wzywa dalej: „Usłysz nas i wysłuchaj, ty Błękitny Pająku, który przebywasz w ziemi mrozów i zimnie, spuść się po błękitnej nitce z góry i zabierz robaka-napastnika, który jest w zębach; wszak ty go pożerasz, to twoje jadło!“ Później nastaje kolej na Pająka Czarnego z kraju mroków i zachodu, nareszcie na Białego, z południa. Wszystkie napastują intruza, tak iż niema on ucieczki, aż w końcu przybywa wir wietrzny, który porywa go i niesie na koniec świata. Taką jest filozofia przyrody i wypływająca z niej praktyka leczenia. Jak widzimy z tego ustępu, barwy są związane z pewnemi stronami świata. Każda zatem z okolic posiada odpowiadający sobie kolor, w zależności od charakterystycznej barwy nieba, tak iż każde wzywane bóstwo wygląda stosownie do miejsca swojego pobytu i wywiera działanie, jakie jest w zgodzie z symbolicznem znaczeniem, przypisywanem danej barwie. Wschodu jest kolor czerwony, w jakim odziana bywa zorza. Zwiastun dnia w przyrodzie, uchodzi w symbolice za znamię tryumfu, powodzenia, szczęścia i potęgi. Czerwone paciorki są używane przy zaklinaniu chorób, aby te ustąpiły, przy życzeniu długiego życia i czarach, mających sprowadzić powodzenie w miłości i na wojnie; podczas gry w piłkę i we wszelkiem innem przedsięwzięciu znachor, rzucając swoje zaklęcie, kładzie te paciorki na tkaninie czerwonej lub na stołku takiegoż koloru.

Bóstwa, żyjące na wschodzie, są czerwone, schodzą po czerwonej ścieżce i jedzą czerwone jadło. Zwycięzca-bojownik bywa w poezyi przedstawiany z czerwoną maczugą i czerwoną tarczą. Tymczasem barwa czarna uchodzi za symbol śmierci i jest kolorem zachodu. Kiedy szaman rzuca urok na wroga, ażeby zmarniał, wzywa czarne duchy, ażeby duszę jego pognały na

*) Cofam to oszczerstwo; takie rzeczy wyszły już ze zwyczaju, postęp bowiem dąży naprzód i powołuje nowe mody.

— Wszak sam przedtem mówiłeś, żem powinien był na zawsze związać ją z mojem życiem.

— Tak, z miłości, ale nie dla posagu. Prócz tego, ty miałeś jej do wybaczenia mniej, aniżeli ów kupiec.

— Co chcesz — moralność tak zwanych ludzi praktycznych!

— A potem?

— Potem pewnie odbyło się wesele. Więcej nic już nie słyszałem o Helenie.

— Czy nie starałeś się dowiedzieć czego o niej?

— Szczerze ci powiem: nie! Nie sądzę, abym miał prawo znów jej pokrzyżować drogę. Do czegóż miało doprowadzić nowe zbliżenie; przecież była zamężną? Prawda — nieraz przychodzi mi myśl — ale człowiek zwalcza takie porywy.

— Że też ona nigdy nie starała się z tobą zobaczyć?

— Może myśli, że jeszcze jestem w Hiszpanii.

— A może umarła. Bo kto tak wzajemnie się kochał w najpiękniejszych dniach młodości, niepodobna, aby żył i pozostał obcym dla siebie. Tak mnie przynajmniej się zdaje.

— Ach, Zygmuncie, życie niemiłosiernie gasi światła.

— Zapewne, ale są płomienie, których życie nie gasi, jeno śmierć...

Kilka miesięcy upłynęło od spotkania się obu przyjaciół. Zygmunt Friese znów był w Waszyngtonie i wykładał matematykę, gdy raz odebrał od Wilhelma list tej treści:

„Najdroższy Zygmuncie! Co też za dziwne zrządzenia wypadku mogą się zdarzyć w wielkiem mieście! Piszę do ciebie pod świeżem wrażeniem. Otworzysz oczy szeroko! Dziś około drugiej przechodziłem ulicą Rochechonart, gdy nagle tuż przede mną zatrzymała się wykwintnie ubrana dama, która w przeciwległym szła kierunku. Ponieważ byłem zamyślony, w pierwszej chwili wcale nie zwróciłem na nią uwagi, lecz poszedłem dalej. Po kilku krokach dopiero jasno uświadomiło mi się przelotne spostrzeżenie i odwróciłem się pomimowoli. Dama owa wciąż stała, jakby wrosła w ziemię i patrzyła za mną. Z pewnem ociąganiem się, jakkolwiek zaciekawiony, zbliżyłem się ku niej, ona śpiesznie podążyła na spotkanie i zanim jeszcze miałem czas rozpoznać jej rysy, ukryte pod gęstą woalką, zawołała głosem stłumionym: „Nie omyliłam się! Tyś to naprawdę! Co za szczęście! Co za szczęście!“ Przy tych słowach wyciągnęła ku mnie obie ręce i pochwyciła moje, ściskała i już nie puszczała ich. Odgadłeś: była to Helena. Cóż ci mam powiedzieć, przyjacielu? Wpadłem w stan rozmarzenia. Stała oto przedemną we własnej osobie ta, o której myślałem tak często, od twoich odwiedzin więcej i czulej, niż kiedykolwiek, ucieleśnienie chwil najszczęśliwszych, moja miłość młodzieńcza, za którą tęskniłem długich lat dwanaście, której już nie spodziewałem się widzieć nigdy! Wiesz, że wogóle nie jestem sentymentalnym, ale tym razem zwilżyły mi się oczy. Wyjąknąłem tylko: „Heleno!“ Potem padliśmy sobie w objęcia i całowali się — przez woalkę — jak opętani, wszystko na otwartej ulicy i wobec przechodniów, którzy spoglądali na nas ciekawie. Helena ujęła mnie pod ramię i pociągnęła za sobą w milczeniu. Zatrzymała się przed dorożką przejeżdżającą, wskoczyła szybko i dopiero potem zapytała mnie: „Czy można do ciebie?“ „Rozumie się, zawołałem. „Więc powiedz swój adres woźnicy.“ Znów tedy siedzieliśmy obok siebie, ręka w rękę, oko w oko, była to chwila pełna szczęścia i boleści, jakiej może nie doświadczyłem nigdy. Potem nowy potok pocałunków i pieszczot, tym ra-

daleki zachód, tam zamknęły ją w czarnej trumnie, zakopały ją głęboko w czarnym mule i na czatach postawiły złego czarnego węża. Czarne paciorki przedstawiają ofiarę, na której głowę zaklinacz chce ściągnąć te wszystkie nieszczęścia; kładzie on je na czarną tkaninę. Podobnie barwa błękitna, właściwa północnej stronie nieba, jest także symbolem nieszczęścia, niepowodzenia, żądzy niezaspokojonej. Wyrażenie czerockie: „nigdy nie staną się oni błękitnymi!“, oznacza wprost, że będzie się owym „im“ zawsze wiodło. W zaklęciach charakteru miłosnego kochanek mówi o sobie, że jest barwy czerwonej i błaga, ażeby jego współzawodnik zbłękitniał i chodził po ścieżce takiej barwy. Zanotujemy, że podobny pogląd ukrywa się w angielskiem powiedzeniu: „*he feels blue*,“ oznaczającem, iż ktoś czuje się niewesoło, przeciwną zaś treść posiada swojskie wyrażenie, że ktoś jest w różowym humorze („czuję się różowo,“ „wygląda różowo“ — mówiłby czerok). Wreszcie kolor biały jest barwą południa i tem samem oznacza szczęście i powodzenie, spoczynek i pewność siebie. Podczas uroczystości takich, jak taniec kukurydzy i gra w piłkę, plemieńcy spożywają w przenośni białe pokarmy i po białej ścieżynie wracają do białych swoich domów. W zaklęciach miłosnych kochanek, kiedy chce skłonić bogdankę do połączenia jej losów z jego, woła: „jestem białym człowiekiem!“, tem samem dając pojąć, że całe jego jestestwo oddycha szczęściem. Kiedy dawniej zawierano pokój i palono na znak tego fajkę, była ona białej barwy. Prócz tego, w czerockiej symbolice kolorów spotykamy jeszcze barwę brunatną i żółtą, obie jednak w swojem pochodzeniu nie zostały jeszcze zbadane. Co do pierwszej, Mooney nie umie nawet powiedzieć, jakie ma znaczenie w życiu, żółta zaś występuje, gdy używaną bywa błękitna, tj. celem sprowadzenia na kogoś niepokoju lub dla oznaczenia niepowodzeń. Rytuał wprost w pewnym szczególnym przypadku każe używać ściśle wymaganej barwy, bo inaczej zaklęcie, leki, urok spełzną na niczem. Kolor wiąże się u czeroków nierozerwalnie z filozofią życia i środkami przez nią nakazywanymi dla dopięcia tego lub innego celu. Mowa ich obfituje w odpowiednie zwroty na każdym kroku. Nie możemy powstrzymać się od przytoczenia paru przykładów. „Słuchaj — brzmi zaklęcie przeciw czyjemuś życiu — i uważaj! Oto teraz następuję nogą na twoją duszę, ty, któryś jest klanu żółwiego i nosisz także to imię. Twoją plwocinę zakopałem pod ziemię, twoją duszę ukryłem pod ziemię. Przychodzę pokryć cię czarną skałą. Przychodzę osłonić cię czarną suknią. Ku czarnej mogile na górze w czarnym kraju mroków wyciąga się twoja ścieżyna! Muł tam ciebie pokryje. Czarny muł położył się na twoją duszę w czarnem domostwie, w ziemi mroku. Twoja dusza znika, twoja dusza staje się błękitną. A kiedy ciemność nadejdzie, twój duch stawać się będzie coraz mniejszym, aż zniknie, aby się więcej nie pokazać. Słuchaj!“ Albo zatrzymajmy się nad zaklinaniami przy rzucaniu uroku miłosnego: „Juh! na wysokiej górze, tam nad dalekiem jeziorem ty się gnieździsz, o Błękitny Kruku!“ — powiada ktoś, chcący rzucić rozterkę pomiędzy kochankami.— „Tytoń błękitny będzie twoją nagrodą. Teraz podniosłeś się ze swego miejsca i spuszczasz na dół. Położyłeś ścieżkę pomiędzy nimi, zostali odosobnieni.“ „Jestem białym mężczyzną — zaklina druga połowa uroku, która winna zwrócić miłość rozłączonej kochanki ku zaklinającemu — stoję na słońcu. Biała kobieta jest takiego to klanu i nazywa się tak a tak. Zwróciliśmy jej duszę ku sobie, gdyśmy szli do kraju słońca. Jestem białym człowiekiem.“ Nad znaczeniem zwrotów nie zatrzymujemy się, gdyż są one widoczne z tego, cośmy powyżej rzekli. Nie możemy się jednak powstrzymać od przeprowadzenia pewnych porównań. Ktoś szczęśliwy w miłości głosi, że jest białym człowiekiem i niekiedy maluje się na biało; jak u nas, idzie do ołtarza w bieli. I u nas i u czeroków kolor czarny jest symbolem śmierci i smutku, ktoś miewa „czarne myśli“ i jest w posępnem „czarnem“ usposobieniu; tak samo czerok rzekłby, że jest czarnym człowiekiem. My bywamy w różowym humorze, wówczas kiedy czerok mówi, że jest czerwony. Wiele stuleci przedziela nas od tej chwili, kiedy nasi pradziadowie byli wyznawcami filozofii, w której barwy posiadały wyraźne znaczenie. Filozofia ta z biegiem czasu zniknęła, lecz szczątki jej do dnia dzisiejszego istnieją, duch jej tkwi w licznych zwrotach mowy i uwydatnia się w mnóstwie zwyczajów życia codziennego. Przestaliśmy rozumieć owe zwroty i zwyczaje, lecz im hołdujemy.

Filozofia czeroków nietylko odkrywa przed nami dawną doniosłość barw, ale również daje poznać rodowód obchodzącej nas symboliki. Jest ona wziętą z obiegu słońca, wiąże się z charakterystycznymi kolorami różnych części świata i od zjawisk obrotu dziennego otrzymuje wytłomaczenie. Pod tym względem nie może być wątpliwości, bo jednocześnie trzech badaczy odkryło ów związek w trzech dalekich od siebie miejscach lądu północno-amerykańskiego. Rzeczto wszakże charakterystyczna, bo chociaż wszędzie symbolika jest związana z obiegiem słońca, inne jednak barwy zwróciły na siebie uwagę człowieka. W plemieniu odżybujów filozofia przyrody podobna, ale jako barwę wschodu uznano kolor biały; zielony, barwa nadziei, jest właściwą południowi, ponieważ z tej okolicy nadchodzą chmury, deszczami użyźniające ziemię. Czerwony — to barwa śmierci i mroków, jako kolor zachodu, w końcu północ jest czarną i z tego powodu kolor ten oznacza głód, chłód i choroby. Wreszcie u zunów filozofia przyrody brzmi w podobny sposób, ale np. barwa żółta jest kolorem południa i szczęścia. Jak zatem widzimy, symbolika barw jest wszędzie u tych trzech grup związana ze zjawiskami, codziennie przez człowieka oglądanemi; wypływają one z obrotu ziemi dokoła słońca, ale sposób, w jaki istota ludzka złączyła barwy ze stronami świata, wygląda każdorazowo inaczej.

L. Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Leconte de Lisle.

Co to za dziwna istota ta dusza ludzka; gruntem w który ona zapuszcza swe korzenie, jest nie tylko pewien kraj ojczysty, ale wszechświat cały; ona nie zadowala się chwilą obecną, lecz ożywia epoki i ludy przebrzmiałe, aby w nich odnaleźć źródło dla swych niepokojów i tortur. Cała poezya nowożytna świadczy, iż istnieje głęboki rozdźwięk pomiędzy wymaganiami życia wewnętrznego a warunkami realnych podstaw bytu. Do tego stopnia, iż jedna ze słynnych teoryi krytycznych naszego czasu staje się coraz bardziej słuszną tylko w sposób niespodzianie ironiczny: poezya o tyle jest zawarunkowana przez okoliczności otoczenia zewnętrznego, o ile ono odpędza ją od rzeczywistości i skierowywa w światy

---

zem już bez woalki i kapelusza nawet. Dwanaście lat naturalnie nie przeszło po niej bez śladu — zawsze jednak jeszcze piękna, okazała. Potem posypały się zapytania. Ja musiałem opowiedzieć pierwszy, jak mi się wiodło i co przeżyłem. Cieszyła się, że jestem nieżonaty, uścisnęła mi rękę, gdym jej powiedział, że nie przestałem myśleć o niej. Potem ona zaczęła opowiadać. Jest zamężną. Czy szczęśliwa? Niema powodu się uskarżać. Naturalnie, że mąż nie jest mną, ale też ona nie porównywa go. Obchodzi się z nią dobrze zarabia dużo pieniędzy, jest zazdrosnym. Śmieszno to z jego strony, boć przecie jej nie kocha. Z powodu tej zazdrości musiała swojego czasu zaprzestać korespondencyi ze mną. Była jeszcze głupią wtedy i nie wiedziała, w jakim celu istnieje *poste restante*...

Tak gawędząc, przybyliśmy do mieszkania. Ja byłem miękki i nieśmiały, jak gimnazista podczas pierwszej schadzki. Nie miałem zamiaru spotkania tego zniżyć do poziomu banalnej przygody kawalerskiej, chciałem pozostawić mu urok właściwy i czystą woń kwiatów. Zacząłem o przeszłości.

Ach, kochany Zygmuncie!

Utrzymywała naprzód, że wspólne pożycie nasze przypada na rok 1878. Kiedy zdziwiony tem, zawołałem: „Co, mogłaś zapomnieć, że to było w r. 1874?“ — Zmieszała się nieco, prędko jednak wybrnęła z kłopotu uwagą: „Wszak data nie ma znaczenia; główne to, żeśmy byli szczęśliwi, o, bardzo szczęśliwi!“ Spytałem, czy pamięta jeszcze, jakiem było gniazdko nasze. „A jakże!“ zawołała i z radości klasnęła w ręce. Wiedziała też, że to było na rue St. Dominique, kiedym wszakże chciał wyciągnąć z niej opis mieszkania, widoku z naszych okien — zręcznie wyminęła moje pytanie. Skierowałem rozmowę na ciebie — nie mówię o tem, aby cię zmartwić — ale najmniejszego wspomnienia! Zapomniała o wszystkiem! Mówiłem o Tanemanie — nic, nic! Dopiero, kiedy napomknąłem o piesku, uprzytomniła sobie, pieska mianowicie, ale nie dawcę. Dotknąłem naszej wycieczki — zaświeciły jej oczy, stanęły jej na zawołanie wszystkie szczegóły, nawet najdrobniejsze i z nadzwyczajną biegłością cała w zachwycie opowiedziała jakąś przejażdżkę do Robinson ze śniadaniem wśród drzew i nadzwyczajną ilością szampana — której nie odbyliśmy nigdy!

Co za strumień zimnej wody! Szczękałem zębami. Spostrzegła mój chłód; spytała, czy nie mam innej kochanki, była obrażoną, gdym udawał, że nie słyszę pytania, powiedziała wreszcie, że musi odejść i na seryo wzięła mi za złe, gdym jej nie wstrzymywał. Poszła — nic wspominawszy o nowem spotkaniu, a ja puściłem ją, nawet nie zapytawszy, gdzie mieszka.

Pewnie już jej nie zobaczę. Żałuję, żem się z nią widział. Dopiero dziś Helenę straciłem ostatecznie, a strata owa boli mnie głęboko. Piękne to było złudzenie i szkoda, żem go nie zachował do końca mego życia.

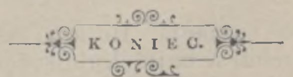
Miałeś racyę, gdyś wyrzekł: niechaj nikt nie wraca do miejsc minionego szczęścia swojego, nie upewniwszy się wprzód, że je zastanie bez zmiany.

Tysiące pozdrowień od twego dziwnie wzburzonego

Wilhelma.

P. S. Mam-że ci wypowiedzieć całą myśl moją? Sądzę, że Helena wzięła mię za kogo innego...“

Tłom. *Ad. J. C.*



zaobłoczne lub przebrzmiałe. Do takiej ucieczki od epoki, znajdującej się w głębokim rozbracie ze wszystkiemi pojęciami piękna, był wciąż pochopny Leconte de Lisle, jeden z największych poetów francuskich naszego stulecia, twórca i główny przedstawiciel szkoły parnasowców. Te wędrówki idealne najczęściej zaprowadzały go do Indyi, nad rzekę świętą. Poeta lubił przechadzać się*) śród lasów nadbrzeżnych, w towarzystwie słoniów zadumanych, smutnych i jakby marzących o dawnej przeszłości. Dusza chętnie zapadała w olbrzymie fale życia sennego i zespalała się z panteizmem pierwotnym pojęć indyjskich. Płodność i obfitość tego kraju tłumi, zasłania osobę ludzką, niszczy nie tylko wolę, lecz i świadomość, która się rozpływa w ogólnych potokach bytu. Znużona rozmyślaniem dusza europejczyka, z rozkoszą ucieka od tortur myśli i marzy o słodyczach Nirwany. Nasze gniewy, nadzieje, życzenia i miłość rozpływają się, jak trochę pary w powietrzu, nasze życie ginie w oceanie bytu, jak kamyk rzucony na dno rzeki, po którym kręgi wodne wnet znikają, a świat zwodniczy o niezliczonych formach unosi się, jak dym w przestrzeń niezmierzoną.

Tak przemawia stary Vicramitra, zachowujący od lat wielu niezmienną pozę posągu kamiennego, dochodzący do oswobodzenia przez wyrzeczenie. Wszechświat jest tkaniną Mai, na której jesteśmy chwilowym wzorem, niknącym w otchłani nicości. Panteizm jest obfitem źródłem poezyi, w której czerpią zwykle balsam usta, spieczone skwarem życia. Jest to ucieczka ludzi znużonych, o energii nadwątlonej — będzie on może kiedyś ucieczką całej Europy myślącej, która zbyt przeciążona wspomnieniami, ugina się pod ciężarem tradycyi, jako niewolnica swej przeszłości. Człowiek, zaczynający dziś pisać jest przytłumiony przez tytanów myśli i sztuki; z dróg, które oni utorowali tak trudno wybrnąć! O świeżości wrażeń w mózgach, zbyt wcześnie pojonych wyciągami analizy gryzącej, marzyć nie sposób. Pozostaje chyba bezsilna złość, szukająca uspokojenia w niebycie. Niepokój ponury i bezpłodny nurtuje ten świat zgrzybiały. W literaturze i sztuce powraca przez nadmiar nauki i bezkrwistość do jąkania szczebiocącego, jak w miłości dochodzi do niemocy przewrotnej.

Nie stawiajmy więc za winę poecie jego „archaizmu“ — który mu często zarzucano — jest on tak naturalny! Zwłaszcza, iż lubuje się w widokach przyrody, piękna niewymownego. Leconte de Lisle daje nam w swych Indyach fantastycznych zachody słońca, które sprawiają bezpośrednie wrażenie ogromów jego systemu i nieskończoności kosmicznej.

Potrzeba, tęsknota życia młodego i świeżości rzucają poetę w sposób naturalny na wprost odwrotny biegun myśli, tam gdzie one tryskały zdrojem niezmordowanym, do Grecyi Homerowskiej. Niema ona jeszcze tęsknoty przeszłości, religii wspomnień i świętokradztwa żalów. Śmiałość, energia, inicyatywa jej synów są cechami człowieka pierwotnego, któryby się wyrzekł obecnych swych potomków, zniewieściałych marzycieli północy.

Poeta chętnie przebywa pod jasnem niebem Hellady, śród jej cór, wznoszących się wraz z jutrzenką z piany morskiej, śród młodych, promiennych jej bogów, posyłając modlitwy do Apollina i Aphrodyty, które ogrzewały światłem i miłością ten młodociany świat piękna.

Pod wpływem tej samej potrzeby widoków energii L. de Lisle zachwycał się człowiekiem biblijnym. Gdy spoglądamy na ludzi współczesnych w najlepszych ich okazach, specyalistów pracujących, dobrych, moralnych, ukształconych, odczuwamy nader żywo całą melancholię bytu. Istotę taką wraz z jej działalnością możnaby nakryć kloszem szklanym. Jest tak delikatną i mizerną, iż nie uderzy się w jakimś polocie o jego ściany. Wszystkie popędy zwichnięte, skrzywione, osłabione.

Nic dziwnego, iż poeta z zachwytem spogląda na te szczątki zwierzęcia wspaniałego, jakim był człowiek biblijny; jego instynkty były jak ryczenie oddalone burzy i jak szczęk złowrogi ścierających się mieczów. Poeta ujawnia gorące współczucie dla buntu Kaina przeciw Jehowie lub dla walki bohaterów i bóstw skandynawskich w mrokach północy*). L. de Lisle chętnie przeżywa nie tylko stany duchowe ludzi pierwotnych, ale nawet zwierząt; z rozkoszą spogląda na rozkiełznanie popędów wielkich drapieżników, lwów i tygrysów, polot pijany ptaków, pogodę słonia, a w smutkach zwierząt odnajduje początki melancholii ludzkiej. Wogóle w tej części pracy poetyckiej przyświeca mu myśl o wspólności pochodzenia duszy ludzkiej i zwierzęcej i powolnym rozwoju tej ostatniej, tak samo jak w odtwarzaniu stanów duchowych człowieka pierwotnego kieruje nim myśl zapożyczona z krytyki historycznej: każda religia była naturalną w swojem miejscu i czasie. Ze zmianą okoliczności jedna ustępuje drugiej i tak bez końca; ale poezya może je wszystkie obecnie wskrzesić. Do tych wielkich snów religijnych i kosmogonicznych Leconte de Lisle doprowadzony został przez samą naturę swego umysłu, który się lubował w ogólnych zjawiskach życiowych, a pozostawał natomiast chłodny na losy osób oddzielnych, między innemi na własne. Przedstawia on rzadką w naszem stuleciu postać poety, który nie pisał o sobie.

Widział tylko świat w ciągłych jego przeobrażeniach i ucieczce i to widowisko napełniało mu serce goryczą: jego jęki wywoływane są przez przyczyny czysto metafizyczne. Działały bez wątpienia i pobudki osobiste dla wywołania pesymizmu — urojenia polityczne i humanitarne jego młodości, które się rozwiały w roku 1848, ubóstwo, z którego wyciągnęła go dopiero pensya prywatna Napoleona III— ale te troskliwie ukrywał.

Wogóle starał się o niewzruszoną pogodę, czem zdobył sobie tytuł „impossible“: nigdy prawie w wierszach jego nie wybucha uczucie osobiste, któreby odrywało uwagę od wspaniałości obrazów zewnętrznych, gdyż miał on jeden kult, gorąco wyznawany — piękna plastycznego.

Ale ta niewzruszoność jest w istocie tylko maską. Leconte de Lisle ma duszę buntownika bezbożnego, który wszakże naprzód wie, iż jego rokosze do niczego nie doprowadzą, nie chce zatem krzyczeć i jęczeć, jak kobieta, woli natomiast ze stoicyzmem zagłębić się w rozmyślanie estetyczne.

Ukochanym jego bohaterem jest starożytny rokoszanin, Kain; tu poeta najwyraźniej wypowiedział swój protest przeciw złu fizycznemu i moralnemu. Grób bratobójcy znajduje się na najwyższej wieży Hénokii, miasta cyklopów. Prorok Thogorma widzi we śnie, iż z mogiły tej powstaje Kain i opowiada swoją historyę ponurą. Był duchem niepokoju, skazanym na cierpienie i rozpacz. Sarka i urąga niebu, które mu odpowiada przez swego wysłańca, cherubina, iż zło jest w życiu. „Oh, czemuż się urodziłem!“ — woła. Jehowa, aby ukarać, rzuca go w zastawioną sieć zbrodni i Kain zabija brata, którego gorąco kochał. To wzbudza większą tylko jeszcze nienawiść jego ku niebu. Postanawia on zemścić się i zbawić ludzi. Gdy Bóg zechce zniszczyć rasę ludzką przez potop, Kain ją uratuje. Według poety, arka była wybudowana wbrew woli Jehowy i to Kain nie dał jej zginąć. Człowiek znowu pokryje ziemię, przez długie jeszcze wieki będzie ciemny i posłuszny, ale w końcu nastąpi dzień, gdy „ta ofiara — powiada Kain do Jehowy — odmówi posłuszeństwa.“

Z czasem człowiek odbuduje Eden starożytny i Abel się odrodzi.

„Kain“ przypomina pod wielu względami Prometeusza Eschylesowego. Tylko Leconte de Lisle daleko jaśniej występuje przeciw cierpieniom fizycznym, niesprawiedliwościom społecznym i tajemnicom metafizycznym, w których żyjemy.

Ten poemat jest jednym z najenergiczniejszych krzyków nie rozpaczy, lecz protestu i nadziei, jakie się rozlegały w naszem stuleciu. Z biegiem jednak czasu poeta czuł się coraz bardziej znużonym i zamiast pożądania walki, coraz bardziej występowała na pierwszy plan chęć śmierci. Jeżeli pomimo to zostawał przy życiu, to tylko przez ciekawość artysty. Nieprzyjemnie jest, gdy śród zajmującego, acz bolesnego widowiska w teatrze naraz spuszczają kurtynę, nie czekając końca. To jest dostatecznym powodem istnienia. Ciekawość Leconte de Lisle'a zajęta jest głównie zewnętrzną, plastyczną stroną obrazów historyi i przyrody. Temu poświęca on prawie wyłącznie główne swe dzieła: *Poèmes Barbares*, *Poèmes Antiques* i *Poèmes Tragiques*. Odtwarza w nich dusze ludów zmarłych. Ale dążność pracy poety, płynąca z pesymizmu i zrozpaczenia, jest zupełnie nowożytna i dlatego to nie może on być rozpatrywany jako zwykły miłośnik starożytności. Jest to człowiek współczesny w całem znaczeniu tego słowa.

Oprócz tych głównych dzieł, Leconte de Lisle pozostawił nam kilka tragedyj, przeróbek oryginałów greckich — najważniejszą z nich *Erinny*, a także tłomaczenia arcydzieł poezyi greckiej i łacińskiej. Nie znamy stanowczo lepszych przekładów w żadnym języku.

Leconte de Lisle był wciąż i pozostał dotychczas nieznany dla ogółu szerszego i wywzajemniał się pogardą ludzi współczesnych. Romans naturalistyczny uważał za brzydotę, psychologiczny za zboczenie umysłu, a poetów, którzy pisali dla ulicy, wyśmiewał niemiłosiernie. O W. Hugo powiedział: *„le vieux-là, il est bête comme l'Himalaya!“* W życiu był sarkastyczny. Pod względem formy uważany jest słusznie za jednego z mistrzów mowy francuskiej.

L. W.

*) Poèmes antiques.

*) Poèmes barbares.

LISTY PETERSBURSKIE.

Idea nieskazitelności.

Między przyrodą a umysłem ludzkości wciąż toczy się walka. Przyroda lubi różnorodność, umysł — formuły. Pierwsza każdego zwierzęcia, każdą nawet roślinę obdarza cechami indywidualnemi, wyodrębniającemi jednostkę od innych tego rodzaju, ludzkość nie lubi tej pstrocizny i stara się wszystko „podporządkować.“ Gdyby przyroda tworzyła np. kolumny korynckie, byłyby one, jak u artystów genialnych, zupełnie podobne do siebie, a jednak nie utożsamione; umysł ludzki, odlewając je, czyni szablonowemi. Stąd łatwy wniosek, że przyroda lubi artyzm, zmysł ludzki — technikę; drugi wniosek, że ludzkość jeszcze się nie wyradza, bo chociaż w życiu powszednicm wolimy mieć sprawę z „podporządkowaniem,“ tj. techniką, od święta lubimy artystów, którzy na wzór przyrody przenoszą nas ze świata formułek w dziedzinę indywidualizacyi. I trzeci wniosek: wiedza i artyzm są dwie rzeczy różne. Gdyby pozwolono umysłowi naszemu przetworzyć

ludzkość, bylibyśmy podobni do siebie, jak machiny odlewane w jednej fabryce; gdyby oddano tę sprawę artyzmowi, bylibyśmy tem, czem jesteśmy, tj. tysiącem zjawisk.

Uświadomiwszy sobie tę różnicę, odgadniemy, dlaczego nawet tam, gdzie dziedzictwo charakteru lub talentu są wyraźne, dostrzegamy odrębne, osobnicze cechy u ojców i synów. Jest to zjawisko pocieszające; gdyby było inaczej, nie mielibyśmy dwu Dumasów, ale jednego, bowiem syn nie przekroczyłby granic bajek historycznych. Bardziej są do siebie podobni Fredrowie, a jednak ostrowidze umieją wykazać i w ich utworach wyraźną indywidualność. A więc i nowe zjawisko talentu, o którem zamierzamy mówić, powinno dać coś charakterystycznego. Syn słynnego pisarza, hr. Leona Tolstoja, także Leon, zaczyna również uprawiać literaturę. Wymagać, ażeby pierwsze utwory młodociane posiadały moc i znaczenie, równe utworom ojca Tolstoja, nie mamy nawet prawa, za to możemy żądać rysów osobistych, któreby wyodrębniły jednostkę. Otóż wyznajemy, że chociaż napisał już trzy nowele, dotychczas oblicza autora nie dostrzegliśmy; ideje w nich zawarte dążą po drodze wytkniętej ostatnimi czasy przez ojca, ale kroczą chwiejnie i mają za cel ostateczny nie jakąś świątynię grecką lub gmach wiedzy nowożytnej, lecz poprostu cichy przystanek życia powszedniego. Stąd wnioskujemy, że autor nie trafił dotychczas na właściwą sobie drogę, a nawet ścieżkę, że talent ojca olśniewa syna i krępuje go.

Ojciec T. w *Sonacie Kreutzera* narzeka na związki małżeńskie, osnute nie na harmonii dusz, lecz na podniecie cielesnej — i chociaż w rozumowaniu swojem, tj. tam, gdzie porzucił drogę twórczą, wpadł na manowce, za to jako artysta stworzył postacie wybitne, z których otrzymujemy sens: sama łączność ciała bez ducha nie stworzy szczęścia, zgody i harmonii rodziny.

Tolstoj-syn duszę człowieka zostawia w spokoju, natomiast na wzór Björnsona (*Rękawiczka*) walczy o nieskazitelność ciała. Wszystkie jego utwory są podobne do siebie: wszędzie widzimy młodzieńca bez skazy wobec pokus. Jeden z nich walczy na tej drodze, wreszcie ginie, drugi pada bez walki, trzeci zwycięża—i to jest wszystko. Nie wiadomo nawet, dokąd cnotliwy bohater skierował swe siły; można powiedzieć o nim, że jest ostrożnym i grzecznym, że podług moralnych prawideł czasu źle nie zrobił, ale czy zdolny jest do dobrego — nie wiadomo.

Bezwątpienia szkoda tylko młodzieńców, którzy brudzą swoje pierwsze kroki związkiem bezmyślnym, częstokroć po pijanemu; zasługują na naganę tacy, co podżegają młodzież do poszukiwania wdzięków przedajnych, sens jednak spoczywa nie w tem, że się skazili, ale chyba w tem, że poszli drogą nienaturalną—głupio, bezmyślnie, że nie dbali ani o uczucia, ani o duszę towarzyszki. Autor nie zwraca nawet uwagi na tak proste rzeczy, bo ich nie wytyka, owszem, walczy o ideę nieskazitelności, jako o cel ostateczny, nie potrąca prawie strun duszy, lub dotyka ich pobieżnie.

Roztrząśnijmy samą zasadę takich ideałów.

Etyka mieszczańska wytworzyła oryginalny probierz dla jednostek rodzaju męzkiego. Ideałem marzeń dziewicy, a szczególnie jej rodziców, jest młodzieniec, który nie pije, nie gra w karty i nie pali tytoniu. Jeśli do tych zalet można dodać: i nie kradnie — będziemy mieli bohatera bez żadnych *ale*, oczywiście zapominając, że każdy manekin, każdy posąg kamienny ma te wszystkie zalety. Zdawałoby się tedy, że owych określeń ujemnych mamy dosyć, że człowiek, który nie pije, nie gra, nie pali, a może i nie kradnie, jest zupełnym, że nie warto w tym ujemnym zakresie szukać nowych zalet; „postępowcy“ jednak myślą inaczej, dodają bowiem jeszcze jedno — mianowicie względem kobiet — *nie*; to jest nie zupełnie — *nie* mogą, ale po nowobohatersku z rozmysłem, z obrachunkiem...

Wykrzyknik: „wino, kobiety i karty!“ jest zabytkiem tych czasów, gdy uczucia wyładowywano hucznie, niby kartacze z gardzieli moździerzy, gdy rozhukana dusza junacka, w przerwach nim odpoczną psy i konie, szukała oszołomienia. Dziś zabłąkane dziecię atawizmu jeśli czasami i powtórzy hasło dawnych, przebrzmiałych czasów, jakże lichem ono się wydaje! coś nakształt echa w dzień słotny, gdy powietrze przesiąknięte wilgocią, traci wszelką sprężystość. Walczyć więc teraz z tem hasłem chyba zbyteczne, tembardziej, że są inne zagadnienia głębszej natury i ku nim właśnie szermierze z wielką korzyścią dla ludzkości mogą skierować swe siły. Wciąż wzrastająca troska o byt powszedni, coraz bardziej złożona praca mózgu bez żadnych szczególnych nawoływań, tłumią w człowieku pożądliwość i czynią go *rozumniejszym*, czasami aż do zwyrodnienia. Zresztą wszystkie zalety, charakteryzujące się ujemnem słowem — *nie* — jakoś smutnie brzmią. Gdy mówią o kimś: „jest to człowiek nie zły, „wyobrażam, że to galareta bez smaku, o której można powiedzieć, że nie jest trucizną. Nie być trucizną, a być lekarstwem dla duszy zbolałej, nie być trucizną, a być pokarmem krzepiącym organizm — są to rzeczy różne. Etyka mieszczańska nie poszukuje szermierzy na polu prawdy i miłości, lecz machin, które najmniej używając opału, najkorzystniej wloką troski powszednie.

Ostatecznie kwestye wszelkiej nieskazitelności, są to zagadnienia rycerzy starożytnych, którzy jadąc na wojnę i pozostawiając żony, wkładali na nie odpowiednie kagańce żelazne... Jest to wielki cynizm zapadłych ciemnych wsi, gdzie i teraz można widzieć, jak matka pani młodej w pierszą noc po ślubie córki wynosi na widok publiczny dowód jej *prawości*—zbrukane prześcieradło. Objawów podobnych, jako nie mających nic wspólnego z dostojnością duszy ludzkiej, nie warto odegrzewać, a przynajmniej czynić z tego zagadnień; dla artyzmu nie masz tu pola, a naukę o zachowaniu organizmu w dobrem zdrowiu możemy otrzymać bliższą drogą — od medyków.

N. B.

NOWE KSIĄŻKI.

— Stanisław Rybicki. *O zapobiegawczem leczeniu wścieklizny u człowieka*, z krytycznym poglądem na metodę Pasteura. (Odbitka z „Pamiętnika Tow. lek. warsz.), Warszawa, 1894 (str. 122).

Autor nie jest przyjaźnie usposobiony dla metody znakomitego bakteryologa francuskiego i jego zwolenników, natomiast stara się obronić sposób przyżegania ran, pochodzących od ukąszenia przez zwierzęta podejrzane. Ażeby dać swoim wywodom podstawy poważniejsze, p. R. rozesłał odezwę do lekarzy całego kraju, za której pomocą chciał się przekonać głównie, jak często występowała i występuje wścieklizna u ludzi i czy liczba wypadków tej choroby zmniejszyła się u nas od czasu wprowadzenia szczepień Pasteurowskich. Otrzymał na to odpowiedzi blizko od 200 lekarzy i na mocy faktów, nagromadzonych tą drogą, przyszedł do następującego przekonania: „Podanie pomocy pokąsanemu przez przypalanie zawsze będzie wcześniejszem od ratunku metodą Pasteura, nawet doraźna pomoc może być udzielona tylko przez przypalanie, że zatem sposób ten jest stanowczo praktyczniejszy, niż oglądanie się na wpływ zastrzyknięć swoistych, mogących być stosowanemi tylko znacznie później.“ Z punktu ekonomicznego dr. Rybicki również potępia metodę uczonego francuskiego; podróż, koszt żywienia, kuracyi i mieszkania w Warszawie oblicza na 30—40 rs. W końcu autor streszcza swoje wnioski w szeregu następujących twierdzeń. Wścieklizna u ludzi była i jest u nas chorobą tak rzadką (1 : 100,000), iż nie należy nią straszyć ciągle. Z liczby ludzi, pokąsanych przez zwierzęta wściekłe i podejrzane, tylko około 2% ulega chorobie, 98% wychodzi zwycięzko, dzięki wrodzonej odporności ustrojowej. Leczenie metodą Pasteura nie daje się dotąd objaśnić teoretycznie; co najwyżej można jej przyznać znaczenie ochronne, nigdy zaś lecznicze. Stosowana u nas od lat pięciu w celach leczniczych, nie zmniejszyła śmiertelności, od wścieklizny zależnej, nawet o jednego człowieka.

— Nikodem Krakowski. *Kredyt ludowy i nasze stowarzyszenia współdzielcze*, podręcznik niezbędny dla organizatorów i uczestników stowarzyszeń, opartych na samopomocy. Warszawa, 1894 (str. 119).

Praca ta obejmuje: rzut oka na rozwój kredytu ludowego i stowarzyszeń współdyielczych w ogólności, początek i rozwój naszych stowarzyszeń, rozbiór ich ustaw i statystykę minionej działalności; patronat dla stowarzyszeń współdzielczych, wzór ustawy federacyjnej dla tych stowarzyszeń, nowozatwierdzoną ustawę normalną kas zaliczkowo-wkładowych, zupełny zbiór wszystkich druków, blankietów, szematów i wzorów ksiąg buchhalteryjnych, niezbędnych przy zakładaniu i działaniu stowarzyszeń współdzielczych, szemat dla sporządzania sprawozdań rocznych. Autor obiecuje pracę swoją uzupełniać i doskonalić w miarę rozwoju kooperacyi u nas i za granicą, ażeby się stała z czasem podręcznikiem niezbędnym dla każdego, interesującego się sprawami stowarzyszeń współdzielczych.

— A. Kwiatkowski. *Dobre chęci w sklepiku*. Warszawa, 1894.

W formie rozmowy autor kreśli ideał kupca, rozumiejącego interes własny i ogółu; daje rady i wskazówki, opisuje tajemnice zjednywania klienteli drogami uczciwemi, wreszcie kończy szeregiem przykładów, jako wzorami do naśladowania. Rzecz ta niewątpliwie większą ma wartość, niż mnóstwo bezbarwnych bajeczek, opowiadanych ludowi.

— A. Kwiatkowski. *Artysta-mechanik.* Uwagi nad życiem Jakóba Watta. Warszawa, 1894.

Są to popularnie skreślone dzieje życia i czyny wielkiego wynalazcy.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— Powieść Elizy Orzeszkowej, *Cham*, doczekała się już drugiego wydania w języku ruskim (przekład Anny Sacharowej, znanej literatki petersburskiej). Pierwszego nakładu w stosunkowo krótkim czasie rozeszło się 15 tysięcy egzemplarzy. Utwór ten wyszedł w moskiewskiej bibliotece arcydzieł i książek popularnych p. t. *Pośrednik* pod redakcyą Leona Tolstoja.

— Zjazd literacko-dziennikarski we Lwowie liczył 300 uczestników.

— Dziennikarstwo ormiańskie obchodzi w r. b. setną rocznicę swego istnienia. Pierwszą gazetą był *Aztazar* (Ogłoszenia). Kalemklar z zakonu Mechitarystów w Wiedniu wydał obszerne dzieje dziennikarstwa ormiańskiego. Tom 1-szy zawiera czasy od r. 1794 do 1860; t. II — od 1860 do chwili obecnej. Najwięcej pism ormiańskich wychodzi w Konstantynopolu.

— Czerwcowy zeszyt *Wiestnika Jewropy* umieścił przekład poezyi Asnyka.

— Utwory Sienkiewicza „Pójdźmy za nim“ i „Janiol“ z życiorysem autora wyszły po słoweńsku w zeszycie drugim *Biblioteki słowiańskiej*.

— W Lipsku wyszła książka p. t. *Kanclerz żelazny w pieśniach niemieckich*, zawierająca zbiór utworów poetyckich, napisanych na cześć Bismarka.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ŻYWIENIE SIĘ LUDNOŚCI WIEJSKIEJ W GALICYI.

III.

Dla uzupełnienia wniosków ogólnych z pracy prof. Cybulskiego dodać należy, iż sporządzone przez niego mapy kolorystyczne co do używalności zbóż rozmaitych zgadzają się bardzo dobrze z mapami uprawy, opracowanemi przez Towarzystwo rolnicze. To podnosi wiarogodność materyału w znacznym stopniu. Mapy uczą, że pszenica znaną jest głównie w powiatach żyznych Galicyi południowo-wschodniej, zresztą niżej od linii Limanowa-Dolina-Kołomyja niema jej wcale. Żyto sięga cokolwiek niżej. Jest ono uprawiane dość równomiernie na szerokim pasie, odpowiadającym mniej więcej granicy z Królestwem. Toż samo jęczmień. Gryka używana jest głównie na przestrzeni od Tarnobrzega i Rzeszowa do Podhajec i Husiatyna. Jak łatwo przewidzieć, wszystkich tych zbóż wymienionych prawie wcale nie zna kraj podkarpacki, gdzie natomiast występuje uprawa owsa. W Galicyi południowo-wschodniej użycie kukurydzy jest powszechnem. Pomijamy wreszcie szereg nazw i cyfr poszczególnych i przechodzimy do kilku danych charakterystycznych i wiarogodnych, które nam posłużą do zamknięcia obrazu. Jeżeli czytelnik nie umie sobie jeszcze wytworzyć wyraźnego pojęcia o tem, jak żywi się lud galicyjski, to wina w tem nie nasza, gdyż dla całkiem wyczerpującej odpowiedzi istotnie za mało jest materyału. Lecz posłuchajmy odpowiedzi jednego z bardziej wiarogodnych współpracowników prof. Cybulskiego — J. Bojka, wójta z Gręboszowa, postaci znanej dziś w całej Galicyi.

„Powiat Dąbrowa — miejscowość Gręboszów, nazwisko gospodarza Janas Jan, członków rodziny 9 (7 dorosłych, 2 dzieci). *Uwaga*: Rodzina ta jest średnio zamożna, tak rodzice, jak i dzieci są rosłe i zdrowe. Pokarmy tu spisane są w wielkim poście, gdy mleka brak zupełny. W lecie rodzina używa więcej nabiału. Zaznaczam, że kawa, herbata w tym domu nie postały nigdy — wieprza nigdy nie biją na zjedzenie.“ Dalej idzie następująca tablica całotygodniowego żywienia się rodziny Janasa Jana:

Potrawy	Ile razy tyg.	Ilość ogólna
Barszcz	7	34 litry
Kapusta	8	16 „
Ziemniaki	5	31 klg.
Kasza jagl.	5	21 litr.
Fasola	2	3½ „
Kluski	4	19 „
Chleb	12	29 klg.
Mleko	4	jako omasta.

Obraz powyższy zdaje się być najbardziej typowym: 200—240 postu obrządkowego i 100 przymusowego niczem się prawie nie różnią.

Nastręczają się tu jeszcze rozmaite wątpliwości: gdzież są grzyby, jagody, owoce, ryby, jaja i drób, które, bądź co bądź, zna gospodarka chłopska? Oto co mówi odpowiedź: „Owoce włościanin jada świeże — zresztą bardzo mało u nas są jeszcze znane. Często służą one zamiast omasty, np. kasza ze śliwkami zamiast masła; jadają też barszcz z kwaśnicą (jabłka niedojrzałe). Jaja spożywają włościanie sami tylko wtedy, gdy się stłuką lub nieco nadpsują, drób — gdy jakaś sztuka jest chora lub ginie. Ryb używają czasem drobniejszych, gdyż większe idą na sprzedaż. Grzyby jedzą przeważnie nadpsute i wogóle niezdatne do zbycia. W innych okolicach czapeczki suszą na sprzedaż, a trzony na własny użytek.“ Widzimy z tego, że o ile wogóle t. z. produkty wiejskie wchodzą w skład pożywienia włościanina, o tyle należy je raczej uważać za szkodliwe, jako trzony, odpadki, wybierki i wogóle produkty nadpsute. Przerażającą jest zgodność odpowiedzi pod tym względem wraz z wyrzekaniem na brud i niedbałe przyrządzanie strawy. Są np. potrawy, które podawane bywają już ze zwyczaju w formie najniestrawniejszej — np. placki z popiołem.

Nie będziemy więcej męczyć czytelnika cytatami z dowodów życia, chociaż rubryka przyrządzania pokarmów ujawniłaby przed nami obrazy jeszcze smutniejsze. Posłuchajmy wreszcie głosu profesora bezstronnego: „Mniej lub więcej prawidłowy rozdział tych produktów (wykazywanych przez statystykę) zależy niewątpliwie od bardzo wielu warunków, lecz głównie *od stosunku ceny dnia roboczego do cen artykułów żywności* — w Galicyi stosunek ten nie jest najlepszym.“ „Gdybyśmy mogli obliczyć wywóz i ilości zużywane na karmienie inwentarza i odciągnąć je od całej produkcyi krajowej, tobyśmy niewątpliwie znaleźli w rzeczywistości liczby o *wiele niższe* nawet od tych, które podawał p. Szczepanowski.“

„Formy pokarmów (nie mówiąc już o ilości) są wogóle mało strawne, a przez to i mniej pożywne. Pod tym względem biedniejsi wieśniacy kraju naszego stoją na tak nizkim stopniu, że ich można porównać chyba z mieszkańcami Afryki środkowej. Trudno bowiem wyobrazić grubsze pokarmy nad owe placki owsiane nawpół z popiołem, chleb z plewami, pierogi z bobem i grochem pół-surowe, kwas z przekwaśniałej kapusty itd. Tu nie ma wątpliwości, że nawet dla „żołądka chłopskiego“ pożywienie takie nie może być dobrem, że musi szkodliwie oddziaływać na zdrowie i rozwój fizyczny tych biedaków. To też widzimy, że pomimo hartowania, na które nasz wieśniak od dzieciństwa bywa wystawiony, odporność jego organizmu na szkodliwe zarazki chorobotwórcze jest bardzo małą, a wieś nasza przedstawia zawsze najlepszy grunt dla wszelkich epidemii. *W tem też tkwi śmiertelność nadzwyczaj wysoka wśród naszego ludu — przewyższająca wszystkie kraje koronne Monarchii.* Tem się wreszcie tłumaczy spóźniony rozwój mężczyzny, dla którego nawet wojskowość ma względy.“

Zakończenie wywodów szanownego badacza stanowią wnioski jego o możliwej naprawie stosunków. Prof. Cybulski staje w nich na gruncie racyonalnej hygieny publicznej oraz poniekąd związanych z nią zagadnień gospodarczych. Wśród środków przezeń proponowanych niektóre trafiają w samo sedno rzeczy: tak np. rada podniesienia wydajności roli, związana z dawnymi wnioskami p. Szczepanowskiego, prowadzi wprost do zagadnienia obszerniejszych reform agrarno-ekonomicznych. Utworzenie bowiem stacyi agronomicznych, uprzystępnienie ludowi nawozów, narzędzi ulepszonych itd. wymaga bardzo szerokich zarządzeń i znacznych wydatków. Oczywiście wtedy tylko było by ono środkiem ekonomicznym a nie naukowo-doświadczalnym. Dalej prof. C. kładzie nacisk na konieczność podniesienia sadownictwa, zaprowadzenia (na razie w wielkich miastach) sprzedaży koniny dla zniżenia cen mięsa itd. Ta zresztą część broszury dla szerokiego ogółu zapewne najmniej jest ciekawą: tu bowiem rozpoczyna się rozległe pole różnic osobistych w poglądach na najwłaściwsze środki reformy stosunków obecnych. Prawdziwą, niespożytą wartość „Próby badań“ stanowi owa dążność do szczegółowego rozpatrzenia sprawy, wobec której sama metoda statystyczna jest bezsilną...

* * *

Nie mając pod ręką źródeł odpowiednich, nie mogłem nigdzie zestawić szczegółów pracy prof. C. z danemi dla Królestwa. Są jednak niewątpliwie i w Królestwie bardzo ciekawe próby badań w tej dziedzinie. Na pierwszym miejscu postawić należy sumienną pracę o żywieniu ludności wiejskiej, drukowaną parę lat temu w *Zdrowiu* przez d-ra Chełchowskiego. Poruszył również tę kwestyę p. B. Zdziarski w pracy p. t. „O najwłaściwszych sposobach wynagrodzenia robotników“ *). Wreszcie *Gazeta świąteczna* rozsyłała w swoim czasie szereg pytań, na które od licznych prenumeratorów otrzymała dużo ciekawych odpowiedzi.

J. G.

Z DZIEDZINY SZKOLNEJ.

Mamy przed sobą garść danych, które świadczą, iż nauka niższa w zakresie gospodarki wiejskiej uczyniła widoczne postępy w stosunku do okresu 1870—1880. Szczególnie zaś rezultat ten wyraźniej daje się spostrzegać mniej więcej od dwóch lat. W roku 1892 powstało 5 szkół, w przeszłym — 10, w bieżącym zaś zapowiedziano otwarcie 15 niższych szkół rolniczych w całem państwie. Prócz tego, władze ministeryalne ciągle otrzymują prośby o prawo otwierania takich zakładów w różnych miejscowościach na podstawie przepisów normalnych, wydanych r. 1883, które przyjęły, jako zasadę, kształcenie przeważnie praktyczne. Bodźcem dla zabiegów prywatnych w tej mierze jest zapomoga państwowa, złożona z następujących środków: wydzielenie 500 dziesięcin ziemi skarbowej dla bezpłatnego użytkowania przez cały czas istnienia szkoły, z prawem wyboru tych gruntów i — zasiłek pieniężny w kwocie 1,500 — 3,000 rs. rocznie dla każdego zakładu. Temu właśnie przypisać należy stały wzrost liczebny uczelni gospodarczych. Przed rokiem 1881 było w całem państwie zaledwie sześć niższych szkół rolniczych, obecnie zaś jest już ich około 60-ciu, a w końcu roku będzie 75 lub nawet więcej. W stosunku atoli do obszarów, ludności i jej potrzeb, jest to zaledwie drobina. W roku przeszłym zakłady powyższe wypuściły ogółem tylko 1921 wychowańców. Wszystkie zaś szkoły rolnicze wyższe, średnie i niższe przez cały czas swego istnienia wydały zaledwie 6,696 ludzi fachowo uzdolnionych. Cóż ta cyfra znaczy w państwie, przeważnie rolniczem o ludności *studwudziestomilionowej!* A jednakże śród wielkiej liczby ziemian panuje przekonanie, że szkoły te wcale nie są potrzebne. „Jeżeli chodzi o szlachtę, ma ona zdolności wrodzone i pewne tradycye w prowadzeniu gospodarki; jeżeli zaś o lud — może się on uczyć od ziemian, mając gospodarkę tych ostatnich jako wzór dla siebie.“ Mniemanie to udziela się i włościanom; na wszelkiego rodzaju szkołę, o ile nie są przekonani o jej pożytku — patrzą niechętnie, gdyż zabiera ona im dziatwę od zajęć domowych.

Obok uczelni wyłącznie z zakresu rolnictwa, spostrzegamy w ostatnich czasach dążność wprowadzenia nauki prawidłowej gospodarski wiejskiej do szkół początkowych między innemi — parafialnych. Sprawy te były właśnie przed paru tygniami rozważane na zjeździe przedstawicieli owych zakładów w Kijowie. Położono tam nacisk na potrzebę wyznaczania gruntów przy szkółkach dla urządzenia ogrodów, pasiek, wogóle ferm wzorowych,

*) Warszawa 1889 r.

zastosowanych do potrzeb gospodarstw włościańskich. Zdaniem niektórych rzeczoznawców obradujących, lud posyła swe dzieci póty, aż się nauczą jako tako czytać i pisać; resztę wykształcenia teoretycznego uważa za zbytek. Jeżeli zaś włościanin będzie widział, że jego syn pracuje w ogrodzie, zajmuje się owocarstwem, warzywnictwem, chmielarstwem, pasiecznistwem itd., — łatwiej się przekona i zachęci do skrupulatniejszego pilnowania, ażeby dziatwa uczęszczała na naukę, która jasno zapowiada swoją produkcyjność. Według sprawozdań niektórych członków zjazdu, bywają coraz częstsze wypadki, że lud po przedstawieniu mu korzyści z nauki, połączonej z praktyką gospodarstwa wiejskiego, chętnie sam dopomagał do założenia szkoły, udzielał gruntu, brał się do wzniesienia budynku i wyznaczał płacę składkową dla nauczycieli w sumie 150—200 rs. rocznie. „Uczelnie, w których przeznaczono dla malców chociaż odrobinę czasu na zajęcia około gospodarki, są odwiedzane przez dziatwę chętniej — mówi jeden z praktyków-rzeczoznawców. Znaczenie takiej szkoły o wiele wzrośnie, gdy do jej programu wejdzie gospodarka rolna. Dziatwę przedewszystkiem należy zaznajamiać praktycznie z najelementarniejszemi zasadami uprawy pól i ogrodnictwa. Zajęcia praktyczne będą wielce korzystne w charakterze wypoczynku po pracy umysłowej 2—3 godziny dziennie."

Jako wzór, podano opis szkoły we wsi Wydrenkach, gub. mohylewskiej, gdzie wykłady gospodarstwa wiejskiego zaczynają się od klasy 2-ej i trwają trzy lata. Do zajęć praktycznych służą grunty majątku sąsiedniego. Wykład prowadzi uzdolniony fachowiec z pensyą 700 rs., nadto posiada pomocnika, specyalistę w zakresie ogrodnictwa (z płacą 240 rs.). Chłopcy na polach majątku uczą się praktycznie, pracując na równi z robotnikami, za co pobierają od dzierżawcy miejscowego po 8 rs. miesięcznie. Na zakup przedmiotów pomocniczych dla nauki ministeryum udziela 260 rs. rocznie, nadto 1,200 rs. stałej zapomogi na utrzymanie zakładu. W materyale sprawozdawczym przytoczono również szkołę ludową w m. Stepańcach (pow. kaniowski, gub. kijowska) przy cukrowni. Zakład ten posiada ogród owocowy, prowadzony wzorowo, dość bogatą szkółkę drzewek i pasiekę, złożoną z uli różnych systemów. Pobiera tam naukę między innymi trzydziestu kilku nauczycieli ludowych, jako praktykantów, w celu zużytkowania uzdolnień dla dziatwy włościańskiej.

W szeregu wielu spraw, roztrząsanych na zjeździe kijowskim, poruszono bardzo ważną kwestyę emerytury dla nauczycieli. Próby tej formy zabezpieczenia bytu (wprowadzone przez instytucye ziemskie) już istnieją w niektórych miejscowościach za Dnieprem, co oczywiście przyciągnęło do pracy pedagogicznej ludzi zdolniejszych. Wogóle pensye tych pracowników szkół elementarnych są skromne, a przyszłość niepewna. Weźmy parę przykładów: według danych urzędowych okręgu kijowskiego, mniej niż 50 rs. płacy rocznej otrzymuje 399 nauczycieli, od 50 do 100 rs., pobiera 613, od 100 do 150 rs. 219, od 150 do 200 rs. 94 osoby, od 200 — 300 rs. i więcej otrzymuje 994 pracowników na tem polu. Najgorzej uposażeni nauczyciele szkół parafialnych, w wyjątkowych bowiem wypadkach płace ich wynoszą przeszło 150 rs. rocznie. O wiele lepszy byt mają kierownicy 2-klasowych szkół wiejskich, gdyż otrzymują po 300, a nawet 400 rs. rocznie, nadto korzystają z gruntów szkolnych. Znośne również bywa uposażenie nauczycieli szkółek jednoklasowych. Wogóle przy skromnych płacach użytkowanie ziemi jest ważnym warunkiem; nie wszędzie atoli szkoły są jednakowo zaopatrzone w ziemię i skutkiem tego nie podobna wysnuć stałej, określonej normy położenia materyalnego nauczycieli ludowych. Są nawet takie miejscowości, gdzie szkoły wcale nie mają gruntu i chociaż tam gromady włościańskie płacą dodatkowo 10—50 rs. rocznie nauczycielowi, nie przynosi mu to wszakże tyle, co ogród, dobrze prowadzony. Przeciętnie szkoły mają po dziesięcinie gruntu; bywają wszakże wypadki, iż uczelnie takie rozporządzają kilkunastu lub nawet 30-tu dziesięcinami, ale to już są fakty wyjątkowe. Dane, dotyczące gub. kijowskiej, mniej więcej są obrazem powszechnych warunków szkolnictwa ludowego w państwie. Wszędzie daje się spostrzegać rozmaitość wielka pod względem uposażenia szkół i nauczycieli. Obecnie myśl nadania emerytury jest początkiem dążeń do naprawy położenia pracowników powyższych tudzież pola ich działalności. Jedną z najważniejszych potrzeb, zdaniem naszem, powinno być zaopatrzenie w grunty wszystkich bez wyjątku szkół tego rodzaju, skąd płynąłby podwójny pożytek: nauka praktyczna w zakresie gospodarstwa wiejskiego i zwiększenie środków utrzymania dla nauczycieli.

P.

WŁODZIMIERZ WYSOCKI.

(Wspomnienie pozgonne).

Śmierć nie napadła go nagle, lecz dość długo torturowała swą ofiarę, zanim wydobyła z niej ostatnie tchnienie. Dla społeczeństwa wszakże, oddalonego od łoża jego boleści, była ona jedną z tych niespodzianek, które nawet nie wysyłają jak piorun przed sobą grzmotu, lecz spadają i druzgocą nieoczekiwanie. Któż bowiem inaczej wyobrażał sobie Wysockiego, niż młodym, pełnym sił i zdrowia, trzymającym w silnych rękach swą lutnię poetycką, z której wydobył tyle tonów świeżych, jędrnych, a jeżeli smutnych, to tylko smutkiem dusz młodzieńczych! Jeszcze przed kilku tygodniami wybiegły na świat (w Kijowie) zbiorki jego utworów, a chociaż były to prace dawniejsze, zdawało się, że one świadczą o zdrowiu autora, tymczasem były to tylko zgarnięte w gromadkę dzieci ojca, który chciał je widzieć razem przed zgonem. Wysocki pomieszczał je prawie wyłącznie w *Prawdzie*, dla której czuł i okazywał przez lat wiele niezłomną i najserdeczniejszą przyjaźń. Cokolwiek napisał, przysyłał naprzód do nas, a nigdy nie chciał przyjąć ani grosza honoraryum. Po wydaniu przepysznej fraszki „Wszyscy za jednego" (Kijów, 1882), która była pierwszym promieniem jego sławy, od r. 1884 wprowadzał ciągle do literatury swoje poezye przez nasze pismo. Radzimy naszym czytelnikom zajrzeć do dawniejszych roczników *Prawdy* i przypomnieć sobie zarówno drobne jego wiersze („Prolog-Epilog," „Poobiednia godzina," „Kiedyż" — 1884, „Palma," „Noc w stepie" — 1885 itd.), jak większe utwory („Gawęda wesoła," „Na odpuście" — 1887, „Oksana" — 1890 i in.), które zresztą znaleźć można w osobnych wydaniach.

PAMIĘTNIK.

W obronie „stryja."

Las nazwano u nas „Stryjem." Dlaczego? Prawdopodobnie dlatego, że był on i jest — jak oszczędny a bezdzietny stryj dla bratanka — ostatnią deską zbawienia. Otóż w obronie tego niszczonego, na zagładę skazanego poczciwca przemawia w *Gazecie rolniczej* p. W. Jankowski. Wiązkę swych przeważnie trafnych uwag splótł on w dość zgrabny fejleton, który przeczytać warto, gdy można przy nim czasem szczerze się uśmiechnąć, a czasem równie szczerze westchnąć. Autor opowiada, jak sromotnie zawiodła rachuba otrzymania płodnych nowin po ściętym lesie. Nie zostawiano nawet nasienników. A i to lasy, które ocalały, powierzono — komu? „Urwie maszyna rękę fornalowi, odstawia się go do lasu, bo przecież ma jeszcze dwie nogi zdrowe, a tam tylko „łazić" potrzebuje. Stary lokaj potyka się już na posadzce, rozlewa herbatę po stole, więc czas już zrobić go leśniczym. Akurat na to stanowisko odpowiedni, bo psy doskonale prowadzić umie, wagę zwierza w kniei zna wybornie, celnie jeszcze strzela, a na trąbce gra jak „prawdziwy" leśniczy! Jest więc i ochrona lasu, i łowiectwo zapewnione — personel dobrany, a co do strony technicznej, to żaden specyalista nie oszacuje wartości lasu, jak Berek, ten sam, co także „z wołami" handluje. „Taka szelma sprytna, pandzieju, że przejdzie się tylko raz i drugi po lesie i co do rubla powie ile wart; ba, nawet zaraz kupca nastręczy... rodzonego szwagra z miasteczka!.."

Hej! gdybyśmy teraz mieli te miliony, które tacy właśnie specyaliści napędzili do kieszeni ludu wybranego i niemców! Miny byłyby gęste, jak u berlińskiego „Holz-Comptoiru," który teraz ledwie nam głową kiwnie, gdy przez kraj nasz przejeżdża. Tem więcej te miliony byłyby teraz na czasie, że nie sposób skądinąd ich zaczerpnąć, ceny zboża są pod psem, kredyt jeszcze niżej, a tegoroczne urodzaje radzą niektórzy owcami spasać!

Niema rady, trzeba w pokorę do „stryja." Ten nigdy nie zawiedzie, bo chociaż zdarzają się chwile obniżki ceny drzewa, to przetrzymanie go na pniu do korzystniejszych konjunktur wychodzi i jemu, i właścicielowi na korzyść. Przeczekanie wynagrodzi się przyrostem drzewa, a tem samem i kapitału, podczas gdy często nie udaje się podobna kalkulacya ze zbożem; zamiast cen wyższych można się doczekać przyrostu... wołków w śpichlerzu. Niema jak las! Oto konkluzya, coraz częściej słyszana, i gdy dawniej mówiono o lesie, jako o kniei tylko, dziś mówią z respektem, jak... o pełnej kasie. Dawniej leśnik wśród ziemian pytany był tylko o polowanie, dziś uczą się odeń, jak zakładać szkółki, zagajniki, ile to kosztuje itp. W pismach rolniczych dział pytań i odpowiedzi często traktuje kwestye leśne, a redakcye znajomych sobie leśników napędzają do pióra. Cóż kiedy temu pióru nie można udzielić głosu trąby archanioła, któryby do każdego ucha doszedł i póty brzęczał, ażby każdy na odczepnego od natręta założył choćby tak maleńką szkółkę leśną, jak kapuśniak u baby wyrobnicy. Powiedziałbym, że to jest najpilniejszą potrzebą naszych lasów... zblazowanych, eliksirem do odżywienia ich wycieńczonego organizmu."

Zwłaszcza po usunięciu służebności, takie szkółki leśne wydają się autorowi przedsięwzięciem łatwem i taniem. „Na to potrzeba miejsca tyle tylko, co salon na ośm par mazura a co do kosztów, to i mówić o nich nie warto. Tysiąc sztuk sosen jednorocznych wypadnie taniej (no, no!), niż cygaro warszawskiego bankiera, który jeszcze tużurek do kostek nosi."

Pomimo wielokrotnej przesady a tu i owdzie niesmacznych żartów (np. z rodzimej żniwiarki Kaśki, która jest lepsza od angielskiej, bo „jeśli w niej coś trzaśnie, to jakiś kieliszek wódki z pieprzem, bańki cięte lub wcieranie, maszynę w mig wyreperują"), satyra p. J. zawiera dużo prawdy i dobrze zaostrzonych kolców.

Na jarmark.

Kupcy i przemysłowcy z Warszawy żywo się interesują jarmarkiem w Niżnym Nowgorodzie. Kilku z nich powiozło podobno znaczne zapasy obuwia i ubiorów męzkich, inni zaś udali się po zakup skór futrzanych. Jeden z głównych odbiorców tamtejszych — według doniesienia *Gazety polskiej* — zamówił u fabrykantów z dzielnicy nalewkowskiej obuwia maszynowego na 3,000 rs. Nadto tutejsi majstrowie cechowi, również na zamówienie, wysłali tego towaru w ogólnej wartości 4,500 rs. Tym sposobem tandeta będzie walczyć z wyrobami dobrymi. Pierwsza, jako niemal o połowę tańsza, zyska licznych odbiorców i rozejdzie się szybko i pod firmą „wyrobów warszawskich“ podkopie dobrą sławę majstrów rzetelnych. Sprawa stemplowania obuwia, o ile sobie przypominamy, była kilkakrotnie poruszana w sekcyi rzemiosł, ale żaden z wysnutych tam pomysłów nie doprowadził do pożądanych rezultatów. Fuszerzy podszywają się pod sławę dobrych rzemieślników i masami pchają towar na rynki do Cesarstwa, gdzie firma zachęca, taniość — przyciąga. Ten ostatni warunek jest niedościgniony dla majstrów cechowych, bo każdy z nich pracuje pojedynczo i niewiele ma środków na wytwarzanie masowe. To też nieraz załamywali oni tylko ręce bezsilnie, gdy spadło na nich zamówienie, przekraczające możność i środki. Obecnie, jak widzimy powyżej, zdobyli się oni ledwie na wysłanie towaru w sumie 4,500 rs., tj. mniej więcej około 1,000 par obuwia. Zważmy, że jarmark w Niżnim Nowgorodzie—to olbrzymi pośrednik dla gubernij wschodnich, środkowych i Syberyi, że do tego ogniska ściągają kupcy i przemysłowcy ze wszystkich stron państwa. Cóż zatem wobec setek tysięcy spożywców znaczy ów tysiąc par „kamaszy“? Aby więc odpowiedzieć choć w części wzrastającemu popytowi, rynki przyciągają tandetę, która zaspokaja masy niewybredne i niezamożne. Wytwórcy warszawscy mają obecnie sposobność do zawiązania stałych stosunków z kupcami nad Wołgą. Niechże postarają się, aby tej nici nie zerwała niezaradność i działalność rozproszona. Jeżeli utorują stałe drogi zbytu, będą mogli zjednywać coraz szersze koła spożywców wybrednych i zamożniejszych. Dla mas uboższych pozostanie tandeta maszynowa, której żadne środki nie stłumią.

Przytułki położnicze

Za granicą do tych zakładów udają się nawet kobiety „z towarzystwa,“ wiedzą bowiem, że w domu nie znajdą tak dobrej opieki i pomocy lekarskiej; co więcej — przy zupełnej rękojmi bezpieczeństwa, mają oszczędność znaczną w wydatkach. Lecz to są szpitale, urządzone z wygodami i nawet komfortem. Nasze zaś skromne przytułki służą dla warstw najbiedniejszych; uciekają się do nich położnice „legalne“ tylko w ostateczności, gdy zupełna nędza zajrzy w oczy. Przeważnie zaś jest to instytucya dla tych, które potrzebują ukrywać swojo macierzyństwo. Zresztą uprzedzenie ogółu w znacznym stopniu uzasadnione: niedbalstwo bowiem i nieporządki, grożące zdrowiu, nieraz już stwierdzono. Główną atoli wadą jest ubóstwo tych zakładów i zbyt mała ich liczba w stosunku do ludności. Każdy przytułek ma zaledwie po parę łóżek; czasem więc właścicielki przyjmą chore nad normę i umieszczają je... na podłodze. Jest to nadużycie przepisów i hygieny, a jednakże wejrzyjmy w warunki istniejące. W ostatniej chwili, nieraz w okropnych bólach przedporodowych, chora wędruje po całem mieście od przytułku do przytułku; wszędzie znajduje przepełnienie i drzwi zamknięte, pod któremi czasem pada w męczarniach i rodzi. Jeżeli trafi do właścicielki zakładu na parę tylko minut przed rozwiązaniem, przyjmuje ona ją poprostu przez współczucie i umieszcza na podłodze. Chcąc atoli być w porządku przed stróżami zdrowia publicznego, przedwcześnie wyprawia rekonwalescentki, które przez to narażono są na wieczną utratę zdrowa, a czasem i życia. Może w niedalekiej przyszłości chore otrzymają ważne udogodnienie, jeżeli Towarzystwo jednego odłamu przedsiębiorstw komunikacyjnych nie będzie głucho na kołatanie. Chodzi o to, ażeby przytułki mogły tanio otrzymać połączenie telefoniczne. Tym sposobem chore w boleściach przedporodowych nie potrzebowałyby odbywać wędrówek po całej Warszawie, lecz trafiwszy do zakładu najbliższego, dowiedziałyby się natychmiast, gdzie jest miejsce wolne. Przedsiębiorstwo, przystępne tylko dla abonentów zamożnych, ciągnące z miasta naszego znaczne zyski, powinno w podziękowaniu Warszawie zdobyć się na ten uczynek „filantropijny,“ na którym przecież — zarobi.

Dla farmaceutów.

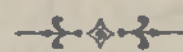
Na ostatnim zjeździe aptekarskim polecono osobnej komisyi pod przewodnictwem magistra farmacyi, p. Ferreina z Moskwy, opracowanie projektu ustawy kasy emerytalnej dla farmaceutów. Instytucya ta ma być oparta na następujących zasadach: Wszyscy pracownicy biorą udział, jako rzeczywiści członkowie kasy. Pełnoletni uczniowie aptekarscy mogą być zapisywani na takich członków tylko w razie zażądania. Kapitał powstaje: 1) z wkładów obowiązkowych w stosunku 5% płacy miesięcznej; 2) z 4% od numerów recept i ich powtórzeń (tę sumę wnoszą obowiązkowo właściciele aptek); 3) z wkładów jednorazowych po 2 rs. na urządzenie kasy; 4) z ofiar i procentu od kapitału kasy. Emerytura ogarnie pracowników aptekarskich w całem państwie, a główny zarząd kasy będzie w Moskwie. Niedawno departament lekarski przesłał już ustawę tej instytucyi do rozpatrzenia komitetowi ministrów. Jest to jedyny jaśniejszy promyk w tym ciemnym obszarze, jakim jest przyszłość pracowników aptekarskich. Każdy z nich marzy o „własnym interesie,“ mała jednak garstka dochodzi do stanowiska prowizora lub zarządzającego apteką. Dzierżawcą zaś albo właścicielem szczęśliwy wybraniec losu staje się dopiero wtedy, gdy zdobędzie posag lub spadek. Ogromna większość — to wyrobnicy bez żadnego jutra, licho płatni i posiadający przywilej wychodzenia parę razy miesięcznie na ulicę. Przy ciężkiej i niezdrowej pracy siły ich prędko się wyczerpują, a gdy przyjdzie znużenie, ze wstrętem porzucają swój zawód i poszukują chociażby najlichszego zajęcia na innem polu. Nie znamy jeszcze dokładnie szczegółów ustawy przyszłej kasy. Sądzimy wszakże, iż dla jej członków okres pracy, po którym przychodzi przywilej pobierania emerytury, powinien być znacznie mniejszy, niż dla wszelkich pracowników w innych dziedzinach, ze względu na rodzaj zajęcia, szybko rujnujący organizm.

Na statkach.

Przysłowie mówi, że gdzie się dwóch bije, tam korzysta trzeci. Tego mniemania byli zapewne i podróżni, spieszący tłumnie na statki przedsiębiorcy, który wszedł w postaci klina między dwa pogodzone interesy pp. Fajansa i Górnickiego. Ale w rzeczywistości okazało się, że ten trzeci najbardziej cierpi. Aferzysta bowiem, chcąc pokryć straty, wynikłe ze zniżki taryfy pasażerskiej, traktuje ludzi jako towar lepszego gatunku i ładuje go razem z koszami owoców, drobiem i najróżnorodniejszym bagażem martwym. Śród tych stosów podróżni z trudem muszą się przeciskać, w kajutach zaś nie mają czasem najniezbędniejszych rzeczy, np. wody. Nadto statek pasażerski jest poniekąd holownikiem, ciągnie bowiem duże łodzie za sobą. Tym sposobem, nadmiernie przeładowany, wlecze się powoli i przebywa drogę między Płockiem a Warszawą w ciągu *osiemnastu* godzin. Podróżni skarżą się na zupełne ich lekceważenie, np. pozostawianie do późna w ciemnościach itp. Na to wszystko byłaby jedna rada: zastosowanie do żeglugi parowej przepisów na wzór kolejowych, między innemi — ujednostajnienie taryfy, której nie można byłoby dowolnie zmieniać. Również drogą nacisku prawnego pożądane będzie wprowadzenie normy ładunku na statkach pasażerskich i ściśle oddzielenie ich zadania od towarowych. Tylko w taki sposób można przemówić skutecznie do panów aferzystów, którzy na Wiśle przeholowali.

Zwrotnice.

W katastrofach kolejowych odgrywają one ważną rolę, znaczny bowiem procent wypadków wynika ze złego nastawienia. Otóż jeden z inżenierów, pełen dobrych chęci, złożył departamentowi dróg żelaznych projekt ścisłej kontroli za pośrednictwem przyrządu mechanicznego—„zegara“; wskazywać on będzie godzinę oglądania zwrotnicy przez zawiadowcę. Szkoda, że obok tego wynalazca nie obmyślił jeszcze innego przyrządu, któryby zwrotniczym, po dobie czuwania, sen rozpraszał i przytomność umysłu przywracał. Środek taki niewątpliwie miałby ogromne powodzenie śród przedsiębiorstw kolejowych, a wynalazca nie potrzebowałby uciekać się za granicę, jak wielu innych, którzy nie znalazłszy uznania w kraju, posprzedawali swoje pomysły obcym.



W DALI.

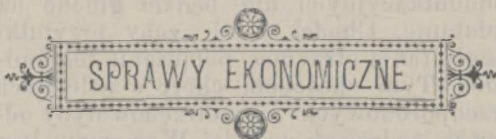
Dla lekarzy. Młodzi medycy po ukończeniu uniwersytetu najchętniej lgną do wielkich miast i radziby na stałe pozostać w tych ogniskach, które dla ludzi ukształconych mają dużo stron pociągających. Stykając się z nimi w okresie studyów, jako z kolegami, mieliśmy sposobność śledzić ich upodobania, wysłuchać nieraz projektów, wzorzyście snutych na kanwie karyery. I oto na setkę nie pamiętam, czy się znalazł choć jeden taki, któryby szczerze zapragnął osiąść na wsi. — „Co mi po niej! Nudy! Można zapleśnieć!“ — Tak mawiali. Widziałem ich później, jako działaczów na straży zdrowia publicznego. W Warszawie zaledwie paru wyrobiło sobie dość wygodne stanowisko materyalne i to dzięki wybraniu popłatnej specyalności — leczenia chorób wenerycznych. Inni w znacznej większości, po krótkiej próbie borykania się z niedostatkiem i współzawodnictwem kolegów „renomowanych,“ musieli z bólem serca opuścić miasto i osiąść na prowincyi. Niedawno przypadkowo spotkaliśmy jednego z nich w wagonie. — Jakże ci się powodzi? — Świetnie! Mam znaczne dochody i wziętość w szerokiej okolicy. — Nie tęsknisz za Warszawą? — „Jako lekarz — nie! Nacierpiałem się tam biedy przez dwa lata praktyki. Jako człowiek oświecony, czasami żałuję, że nie mieszkam w tem ognisku ruchliwem. Ale tęsknota owa z każdym rokiem słabnie i czuję, że wkrótce będzie mi zupełnie dobrze, nawet pod względem umysłowo-moralnym.“ Po tej rozmowie przelotnej przypomniałem sobie te straszne wyrzekania lekarzy na nudy wiejskie, szukanie ratunku w wincie lub czasami — w kieliszku. *Dr.*

Dąbrowa Górnicza. Cała katastrofa obejmuje tylko straty materyalne. Dzięki bowiem istniejącym odkrywkom, robotnicy zdołali zdrowo i cało wyjść przed ogniem. Jak już zaznaczyliś-

my w przeszłym numerze, wszystkie zabudowania i zapasy zewnętrzne zamieniły się na popiół; w podziemiach klęska przybrała o wiele większe rozmiary. Płomień zapełnił korytarze na znacznej przestrzeni, zniszczył zupełnie dwa szyby: „Paryż“ i „Chapert.“ Ratunek na razie był słaby i opieszały, z braku srodków odpowiednich i... głów. Pompa kolei żelaznej chwilowo nie działała, czerpano więc wodę ze zbiorników „Huty Bankowej“ za pośrednictwem wózków węglowych. Straży na razie nie było, dopiero przybyła w chwili największego rozrostu płomieni, ale i ta miała robotę nad siły. Przytem utrudniła ratunek nagłość katastrofy, w jednej bowiem chwili ogień objął cały budynek szybowy z pompą i wszystkiemi maszynami. Na świstki alarmujące tłumy się zebrały, ale tylko jako widze bezczynni. Nazajutrz po wznieceniu ognia zdarzył się w kopalni wybuch gazów, skutkiem czego otwarły się zabite szyby i wciągnęły do siebie pożar. Inżenierya mniemała, że łatwiej będzie klęskę zażegnać za pomocą zalania podszybia, ale i tu stanął na przeszkodzie brak wody. Sam zarząd niechaj sobie czyni wyrzuty, gdyż wiedząc doskonale o tem, że najmniejsza iskierka może katastrofę sprowadzić, patrzył spokojnie na budynki drewniane, stare, suche, przesycone tłuszczem, zapomniał o stworzeniu najdoskonalszych środków ratunkowych i liczył, ile z tych „oszczędności“ urośnie procentu. Ale gdy zawołano o ratunek, nie było nawet czem pokropić zgliszcza dla prostego zwyczaju. W chwili, gdy każda sekunda ratunku przyspieszonego ocalić mogła przedsiębiorcom setki tysięcy, tracono czas daremnie na bieganie po kiszki sikawkowe do „Huty Bankowej“ i po maszynistę na „Reden.“ Zdaje się, że już w chwili obecnej ogień całkowicie ugaszono, jeżeli gdzie w ukryciu nie spoczywają iskry, które za silniejszem poruszeniem powietrza wybuchną nowym płomieniem. Straty są olbrzymie, niedające się dzisiaj obliczyć dokładnie. Ale pokryją je... spożywcy. Przyczyną klęski było podobno upuszczenie przez cieślę lampki, która zapaliła nagromadzone tam wióry tudzież drzewo i liny, tłuszczem przesiąknięte. Kopalnia zatrudniała około 2,000 robotników. W r. 1876 sprzedana została wraz z innemi pp. Plemiannikowowi i Rosenkampfowi, którzy wydzierżawili je bankowi francusko-włoskiemu. Dyrektorami są pp. Mieczysław Grabiński i Ribeyron. — Tydzień ubiegły pełen katastrof: Nieopodal Sosnowca na krzyżownicy Radocha d. 12 b. m. zetknęły się dwa pociągi towarowe, jeden kolei Wiedeńskiej, drugi Dąbrowskiej; w wiedeńskim 13 węglarek rozbitych, w dąbrowskim uszkodzony parowóz. — W hucie „Katarzyna“ pod Sosnowicami para z kotła zabiła trzech robotników.

Wilno. Przymusowa sprzedaż dóbr księżnej Hohenlohe, jak donosi *Wil. Wiest.*, dała sposobność włościanom powiatów: słuckiego, mozyrskiego i bobrujskiego do nabycia, czy to pojedynczo, czy zbiorowo, wybornych przestrzeni ziemi. Wyrąb lasów przyniósł im znaczny zarobek i możność nabywania ziemi w pow. słuckim i nowogródzkim. Obecnie toczą się układy o nabycie majątków w pow. mozyrskim i bobrujskim, gdzie szacunek dziesięciny dosięga 10—15 rubli. — W ostatnich czasach spekulanci rozsieli pogłoski o upadku cen lasów; fakty atoli zaprzeczają tym wieściom. Olbrzymie niegdyś bogactwa przyrodzone wyczerpują się coraz bardziej, a wślad za tem wzrasta ich wartość. — Według obliczeń p. Korewy, gub. wileńska w r. 1824 posiadała 1,432,289 dziesięcin lasu. W 26 lat później dane statystyczne wykazywały już znacznie mniejszą cyfrę — 933,137 dziesięcin. Obecnie w gub. wileńskiej zajmują zaledwie 700,000 dziesięcin, w tem do obywateli ziemskich należy 450,000, do włościan 20,000 dzies., reszta stanowi własność skarbu. Ze słynnej puszczy Rudnickiej, ciągnącej się 70 wiorst, pełnej dzikiego zwierza, pozostały już tylko nieznaczne ślady. Z pewnej jej części urządzono skarbowy okrąg leśny międzyrzecki, obejmujący 4,135 dzies., w którym przeważnie hodują drzewa masztowe. W pow. wilejskim dość znaczną przestrzeń zajmują lasy Łukawieckie i inne.

Moskwa. W Kremlu czynią się teraz poszukiwania pod przewodnictwem ks. Szczerbatowa. Idzie o wykrycie biblioteki po Iwanie Groźnym, która, według sprawozdań kronikarskich, miała zawierać mnóstwo ksiąg i rękopisów tatarskich, hebrajskich, greckich i łacińskich. Ponieważ po śmierci Iwana ślad tej biblioteki ginie zupełnie, przypuszczają uczeni ruscy, że ona spoczywa w Kremlu, w jakiej izbie podziemnej. Zdołano już odkopać kilka sal, sklepionych mocno, ale całkiem pustych. W poszukiwaniach tych bierze także udział książę Gedroyć.



ROBOTY PUBLICZNE.

Jeszcze w roku przeszłym ministeryum spraw wewnętrznych poruszyło kwestyę stałego urządzenia robót publicznych dla ludności ubogiej w całem państwie i przedsięwzięło odpowiednie czynności wywiadowcze. Przedewszystkiem rozesłało do gubernatorów dwa zapytania: 1) jaka powinna być organizacya robót publicznych? i 2) czyim kosztem należy je stwarzać? Odpowiedzi już nadeszły i wkrótce będą rozpatrzone szczegółowo. Zdania rzeczoznawców powyższych w ogólnych zarysach są różne i nawet sprzeczne, co oczywiście wynika z odmiennych warunków danych gubernii. Między innemi niektórzy doradzają roboty na koszt instytucyi ziemskich, gdzie zaś ich niema, trzeba środki czerpać z podatków gruntowych. W tym celu należałoby zawczasu uzbierać ogólne fundusze gubernialne drogą corocznego odliczania pewnych procentów od poborów rzeczonych. Nadto, dla pokrycia wydatków na roboty w powiatach, proponowane jest stworzenie oddzielnych kapitałów powiatowych, na co złożyłyby się odsetki od różnych poborów, naturalnie z warunkiem, ażeby owe pieniądze były obrócone na rzecz robót ludności tych wsi, z których owe fundusze ściągnięto. Prócz tego, podano wniosek wprowadzenia opłat dodatkowych od patentów na handel trunkami, mianowicie za pomocą podniesienia normy obecnej 25% do 35%, z tem, iżby owe 10% szły wyłącznie na wzmocnienie kapitałów powiatowych dla robót publicznych.

Niektórzy proponują zbieranie funduszów z różnych źródeł, możliwie najliczniejszych, tak np. środki na robienie lub naprawę dróg powinny pochodzić z wpływów gminnych. Koszt robót irygacyjnych i zalesienia przestrzeni ogołoconych na gruntach skarbowych, musi państwo pokrywać; zarządzenia zdrowotne, studnie itd. powinny się opierać na funduszach z procentów kapitału żywnościowego itd. Wielu gubernatorów oświadczyło się za organizacyą robót kosztem ogólnych środków państwowych. Znaczna większość zapytanych popiera przy tem roboty stałe, gdyż tylko ciągłość pracy może poprawić byt ludności ubogiej. Ale pożądana byłaby organizacya możliwie najprostsza i najtańsza, kierownicy zaś jej w danych miejscowościach powinni uwzględniać warunki i stosownie do tego przedsiębrać czynności, które dając zarobek, jednocześnie podniosłyby technikę i kulturę powiatu, czy też gubernii. Ktoś z zapytanych podał wniosek, iżby kierownicy przedsięwzięć nie byli krępowani zbytnią formalistyką i nie mieli grozy odpowiedzialności za niewykonane lub nieprawidłowe przeprowadzenie robót. Warunku tego wszakże nie rozumiemy; bo przecież *niewykonanie* robót tam, gdzie one są potrzebne, jest chybieniem zabiegów i nie zgadza się z założeniem całego projektu. Co do machineryi administracyjnej, proponowane jest utworzenie organu centralnngo, który miałby pod swoją władzą odpowiednie „zarządy gubernialne,“ w skład zaś wejść mają: główny kierownik tudzież dwaj jego pomocnicy. Ci ostatni powinni posiadać uzdolnienie techniczne; jeden w zakresie hydrotechniki, drugi — inżenieryi komunikacyjnej. Nadto niezbędni są specyaliści z dziedziny agronomii, leśnictwa itd. Zdania ministeryum oraz wszystkich gubernatorów zgadzają się zupełnie na jednym punkcie: należy przedewszystkiem dążyć ku temu, ażeby ludność, w miarę możności otrzymywała taką pracę, która nie odrywa jej od domu, rodziny i gospodarki. Wreszcie trzeba wyszukiwać najwięcej takich źródeł pracy, które wciągną masy robotników i nie będą wymagały wiedzy technicznej dla organizatorów-nadzorców.

Tak się przedstawiają w ogólnych zarysach dotychczasowe zarządzenia około robót publicznych, jako stałej instytucyi. Dane, gromadzone obecnie przez ministeryum spraw wewnętrznych, niewątpliwie dostarczą bardzo wiele cennych wskazówek i materyału obfitego, który będzie podstawą do skutecznych działań w tej mierze. Myśl robót publicznych dla poprawienia bytu ubogich warstw ludności, nie dziś powstała; błąka się ona od dawna w postaci wniosków i rad dorywczych. Teraz zaś widzimy nowy pomyślny zwrot, zapowiadający rychłe wprowadzenie w życie tego środka naprawy bytu materyalnego. Wobec tego rodzi się podstawowa niezmiernie ważna sprawa charakteru tych robót. Przedsiębrać ich na oślep nie można, jak również nie podobna stworzyć jakiejś ogólnej modły dla całego państwa. Jest ono tak rozległe i posiada tak wielką różnorodność warunków, że przed wprowadzeniem w życie nowej organizacyi należy zbadać zosobna każdą gubernię i każdy niemal powiat; trzeba dokładnie rozejrzeć się w brakach i niedomaganiach wszelkich miejscowości, obliczyć, jakiego rodzaju roboty są pożądane i jakie mogą być owocem zarówno dla ogółu mieszkańców jak i ludności, wciąganej do pracy. Jest to rzecz o wiele trudniejsza, niż się wydaje na pozór i chcąc ją należycie wypełnić, trzeba wezwać do pomocy zbiorowe siły inteligencyi. Każdy zakątek posiada ludzi mniej lub więcej światłych, obeznanych dokładnie z warunkami swojej okolicy i rozumiejących jej potrzeby. Otóż nie omylimy się przypuszczając, że ministeryum po rozpatrzeniu materyału zgromadzonego, zasięgnie pomocy jednostek powyższych, dla zbadania szczegółów i wytknięcia możliwie najściślejszych zasad organizacyi.

Na uwagę zasługują w sam czas podane wnioski p. Isajowicza, nakreślające grunt dla robót publicznych w Królestwie Polskiem *). Autor żąda otworzenia tych źródeł pracy na wielką skalę i przedewszystkiem w granicach potrzeb rolnictwa. Jedną z ważniejszych byłoby osuszenie błot, zajmujących dość znaczną przestrzeń, gdyż przeszło 320,000 morgów nowopolskich, czyli 160,000 dziesięcin. Przedsięwzięcie to, obok dostarczenia zarobków warstwom ubogim, podniosłoby znacznie kulturę kraju, dałoby nowe obszary do eksploatacyi. Królestwo Polskie wogóle odznacza się wielkiem ubóstwem łąk; wynoszą one bowiem zaledwie 5% ogólnej przestrzeni gruntów. Obszary bagniste leżą głównie w gub. suwalskiej i łomżyńskiej tudzież w dolinach rzek: Wieprza, Pilicy, Bzury i Przemszy.

Roboty powyższe, zdaniem p. Isajewicza, mogą być zarządzone tylko przez państwo, „gdyż na zbiorową pracę nawet ludzi zainteresowanych w tej mierze, tj. właścicieli ziemskich i włościan, posiadających błota, liczyć wcale nie można.“ Działają tu paraliżująco dwie przyczyny: 1) wrodzony brak skłonności do zgody

*) „Czego potrzeba dla naprawy warunków ekonomicznych Królestwa Polskiego.“ Warszawa. 1893.

w sprawach spółkowych przedsięwzięć ekonomicznych i 2) niedostatek kapitałów niezbędnych. „Rozumie się — powiada projektodawca — że wszystkie koszty, poniesione przez rząd na przeprowadzenie robót tudzież wynagrodzenie osób pokrzywdzonych (np. właścicieli młynów wodnych) powinny być z odsetkami pokryte przez posiadaczy przestrzeni błotnych, którzy będą z nich mieli nowe źródła dochodu.“ Jednocześnie wszakże autor żąda możliwie najdogodniejszych warunków dla spłaty przez ziemian i włościan kosztów osuszenia. Leżące dziś bez żadnego pożytku te obszary jałowe, po skanalizowaniu mogą przynieść znaczne zyski, jak to mamy obecnie wymowny przykład na błotach poleskich. Co do środków dla zorganizowania tych robót, p. Isajewicz wskazuje kapitał użyteczności ogólnej, oddany dziś pod opiekę ministeryum spraw wewnętrznych. Większą część tych funduszów już zużytkowano lub też przeznaczono na pewne cele, mianowicie: 2,000,000 rs. przekazano Bankowi włościańskiemu, 500,000 na dom dla obłąkanych w Tworkach, 300,000 na odnowienie teatrów warszawskich. Pozostałej atoli, dość jeszcze pokaźnej sumy 800,000 rs., byłoby aż nadto dla zarządzenia pierwszych, najniezbędniejszych robót publicznych w Królestwie Polskiem, tj. przedewszystkiem na osuszenie dolin Bzury i Wieprza, tak iż właściwie skarb państwa musiałby czerpać bezpośrednio z własnej kasy na ostateczne dokończenie tych zadań.

P. Is. kładzie nacisk na zmniejszenie się w ostatnich latach popytu rąk roboczych przy zajęciach rolnych, podczas gdy ich wzrost liczebny jest zjawiskiem stałem. Właściciele ziemscy, skutkiem ciężkich warunków materyalnych, czynią ciągle ograniczenia w wydatkach, więc posługują się najemnikami podziennymi tylko w razie robót najpilniejszych, których ani odłożyć, ani porzucić nie można. Skutkiem tego pewne czynności, zmierzające do podniesienia kultury, prawie wszędzie zostały zaniechane. Rzadko kto dziś karczuje przestrzenie po lasach wyciętych, oczyszcza pola z kamieni itd. Nadto, zarobki dworskie zmniejszają się jeszcze z tej przyczyny, że co rok pewna część dóbr ziemskich idzie na parcelacyę. Wobec tego osuszanie błot przyciągnęłoby znaczną liczbę ludności, pozbawionej zarobku, a na przyszłość zwiększone obszary łąk dałyby również dość znaczny zarobek letni podczas sprzętu siana.

To jest tylko jeden ze szczegółów robót publicznych. Królestwo bowiem, pomimo swej kultury wysokiej w stosunku do innych gubernij państwa, posiada jeszcze bardzo wiele źródeł zasklepionych, które po otworzeniu wytrysnęłyby obficie, pociągnęłyby tysiące rąk do pracy i podniosły w przyszłości ogólny dobrobyt kraju.

Przed kilku tygodniami wskazywaliśmy jako jeden z takich czynników, leżące nieprodukcyjnie wielkie bogactwa w nietkniętych pokładach torfowych. Po za tem — przyjrzyjmy się drogom naszym. O ich naprawie pisano i mówiono u nas dużo; najwięcej wszakże czczych słów i czasu zużyto w sekcyi rolnej. Rajcowie rozjechali się, zadowoleni ze swoich mówek i referatów, które ku wiecznej pamięci uwięzły w protokółach posiedzeń, złożonych do szaf dla potomności, jako świadectwa naszych dobrych chęci i tej znamiennej cechy, przypominającej przysłowie o krowach głośno ryczących. W tych dniach miałem sposobność przejechać parę mil owemi drogami (na pograniczu gub. siedleckiej i warszawskiej) w okolicy bardzo ruchliwej, przylegającej do kolei żelaznej i podtrzymującej stałą łączność z Warszawą. Zdawałoby się, że taka miejscowość powinna posiadać wzorową komunikacyę; w rzeczywistości wszakże drogi tamtejsze z groblami żywo przypominały mi zapadłe kąty Polesia, gdzie kilkanaście wiorst jazdy kołowej więcej nuży, niż przebycie tysiąca koleją. W Królestwie istnieje mnóstwo jeszcze takich okolic, nawet przemysłowych, gdzie jazda końmi na wiosnę lub w jesieni jest niemożliwą. Gdyby się dało obliczyć te sumy, jakie ogół mieszkańców traci z powodu utrudnionej dostawy i przejazdu, niewątpliwie powstałby z nich w ciągu jednego roku fundusz, wystarczający na doprowadzenie do porządku dróg kołowych wszystkich kategoryj w całem Królestwie, przyczem tysiące rąk znalazłyby zarobek.

Parę przykładów powyższych, przedstawiających tło robót publicznych, wystarcza chyba dla scharakteryzowania ogromu działań, które po wielkich obszarach rozproszone, nie dałyby się ująć siłami prywatnemi w jednę wielką całość dla wytworzenia ciągłego źródła zarobków licznym rzeszom ludności. To też przy takiej wielostronności i rozległości zadań, najwłaściwsza i najskuteczniejsza będzie organizacya ześrodkowana pod jednym sterem państwowym, która przy skupieniu wielkich środków i możności ogarniania najróżnorodniejszych obszarów, łatwiej to dzieło poprowadzi i utrwali. Przytem będzie miała jeszcze tę wyższość nad przedsięwzięciami oderwanemi, że usunie wszelką spekulacyę, rozrastającą się zwykle ze szkodą ogólną kosztem ludności, wprzęgniętej do pracy i — środków, zmierzających do podniesienia techniki powszechnej. Wreszcie ster takich robót może odpowiednio rozmieszczać siły i tym sposobem zapobiegać obecnym zjawiskom nienormalnym: skupianiu ludności zarobkującej w jednem miejscu po nad potrzebę istotną i—brakowi jej tam, gdzie jest usilnie poszukiwana. Roboty zatem publiczne ze sterem państwowym odegrać także mogą w tym względzie rolę równoważnika.

Środki powyższe, mające na celu dostarczenie źródeł zarobków ludności wiejskiej, może zadziwią wielu z tych, którzy słyszą ciągle skargi na *brak* robotnika. Wogóle biorąc, brak ten jest pozorny, w szczegółach zaś — rzeczywisty, zależny od wielu zjawisk złożonych i nienormalnych, lub wreszcie chwilowych. Głównie rolnicy skarżą się na trudność zdobycia rąk do pracy podczas robót najgorętszych w paru miesiącach letnich, kiedy włościanin sam ma dużo zajęcia nawet na niewielkiej przestrzeni gruntu, gdyż pierwotna kultura wymaga podwójnego lub potrójnego natężenia sił i dużo czasu. Rolnik-chłop przy ziemianinie, rozporządzającym bogatymi środkami wytwarzania — to piechur wobec pociągu. Gdy się skończy najpilniejsza krzątanina, ten sam włościanin, który nie chciał, pomimo próśb, iść na pola dworskie, chciwie się chwyta najlichszej pracy, dającej chociażby parę kopiejek dziennie. Otóż, zdaniem naszem, organizacya robót publicznych, jako równoważnik, powinna wejrzeć w to zjawisko i obok odpowiedniego rozmieszczania sił, starać się rozkładać samą pracę stosownie do pór roku. Zajęcia, dostarczane masowo przez przyszłą instytucyę, należałoby rozwijać w całej pełni wtedy, gdy się pokończą najgorętsze czynności polne. Są miejsca, gdzie brak robotników do zajęć rolnych jest zjawiskiem stałem, mianowicie w pobliżu ognisk fabrycznych tudzież na obszarach mało zaludnionych, nieposiadających komunikacyi dogodnej itd. Zresztą o tym przedmiocie, wymagającym szczegółowego traktowania i różnostronnego oświetlenia, pomówimy osobno.

Zen. Piet.



Sprawy społeczne. Wniesiony będzie do rady państwa projekt przekształcenia loteryi klasycznej Królestwa Polskiego, opracowany przez b. zarządzającego kantorem warsz. Banku państwa, bar. Driesena. Projektodawca doradza zniesienie urzędu a natomiast przy kantorze Banku utworzenie wydziału specyalnego; nadto kładzie nacisk na powiększenie liczby losów.

— Ogólny koszt utrzymania policyi i straży ogniowej w Warszawie wyniesie w r. 1895 około miliona rubli.

Szkoły. Ministeryum oświaty otworzy w Mohylewie nad Dniestrem niższą szkołę mechaniczno-techniczną. Będzie ona dawać przywileje średnich zakładów naukowych. Rada miejska wyznaczyła na utrzymanie tego zakładu 5,000 rs. rocznie.

— Ministerya spraw wewnętrznych i oświaty zwróciły baczną uwagę na system wychowywania dzieci żydowskich. Pomiędzy innemi postanowiono skasować chedery i domy modlitwy, a natomiast stworzyć szkoły rządowe, gdzie początki religii żydowskiej i języka starohebrajskiego wykładane byłyby nie przez melamedów i „belfrów“ lecz przez bardziej rozwiniętych nauczycieli pod ciągłą kontrolą inspekcyi szkolnej. (*Now. Wr.*).

— Ministeryum oświaty przystępuje w r. 1895/6 do zastosowania pierwszej próby w Rosyi przymusu szkolnego. Na początek wybrano cztery gubernie: charkowską, połtawską, kurską i woronezką.

— Postanowiono wyznaczyć fundusz na utworzenie wydziału lekarskiego w uniwersytecie odeskim.

— Sprawa utworzenia w Petersburgu wyższego instytutu lekarskiego dla kobiet rozstrzygnięta będzie w jesieni.

— Generalni konsulowie ruscy w Anglii, Francyi i Austryi otrzymali od departamentu handlu i rękodzieł zlecenie, aby zebrali możliwie dokładne materyały w sprawie wykształcenia handlowego za granicą. Posłuży to za materyał dla komisyi specyalnej, która rozpocznie czynności we wrześniu.

Koleje i komunikacye. Wydawanie biletów sezonowych przedłużono do 28 września, między innemi na kolei Petersburskiej i Terespolskiej.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż pomiędzy ministeryami komunikacyi i skarbu toczą się układy o ustanowienie posad inspektorów, których obowiązkiem byłoby czuwanie nad bezpieczeństwem podróżnych na statkach morskich i rzecznych.

— Na Wiśle przybyło nowe przedsiębiorstwo żeglugi parowej, które swojem współzawodnictwem wpłynęło na ogólną zniżkę opłaty za przejazd. Pp. Fajans i Górnicki pobierają na statkach, wychodzących z Warszawy o 9-ej zrana, za przejazd do Płocka II klasą już tylko 30 kop.

— Ogłoszono prawo o ustanowieniu nowej normy podatku skarbowego od biletów pasażerskich i frachtów towarowych pośpiesznych. Od ruchu osobowego 15%. Pociągów lub wagonów IV klasy podatek nie obejmuje, o ile opłata przewozowa nie przewyższy 3/4 kop. od wiorsty i osoby. Od pociągów nadzwyczajnych 15%. Towary, przewożone w pociągach pasażerskich i mieszanych tudzież bagaże podróżnych podlegają podatkowi również w stosunku 15%.

— Opracowano projekt nowego połączenia kanałami morza Bałtyckiego z Czarnem za pośrednictwem Dźwiny zachodniej i Dniepru.

Zdrowie publiczne. W Ciechanowie (gub. płocka) cholera wygasła.

— Piotrków i Kielce ogłoszono za miasta nawiedzone przez cholerę.

— Urzędowo zaprzeczono rozsiewanym przez giełdy niemieckie pogłoskom o istnieniu cholery w Niżnim-Nowgorodzie.

— W Marsylii panuje cholera.

— W Warszawie w ciągu doby do południa 11 b. m przybyło chorych cholerycznych do trzech szpitalów: praskiego, żydowskiego i zapasowego 25-ciu, wyzdrowiało 3, zmarło 3, pozostało ogółem 116. Dnia 12-go przybyło chorych 19, wyzdrowiało 15, zmarło 4, pozostało 112. Dnia 13-go: przybyło 33, wyzdrowiało 13, zmarło 10, pozostało 122. Dnia 14-go: zachorowało 36, wyzdrowiało 13, zmarło 10, pozostało 135.

— W porozumieniu się z komisyami sanitarnemi duchowieństwo parafialne w Warszawie i na prowincyi przystąpiło do wyjaśnienia z kazalnic warunków zdrowotnych, które zachowywać należy w porze obecnej.

— Cholera w Holandyi ciągle wzrasta.

— W Warszawie wzbroniono sprzedaży owoców z wózków i koszyków przenośnych.

— Z rozporządzenia władzy miejskiej w Warszawie, lekarze cyrkułowi będą czuwać nad zdrowiem wychowańców elementarnych szkół miejskich tudzież ich nauczycieli.

Zmarli. Hr. Ludwik Wodzicki w Donax, radca tajny, gubernator Laenderbanku.

— August Cain, w Paryżu; znany rzeźbiarz.

— Dr. Henryk Podowski, w Warszawie, b. ordynator i naczelny lekarz szpitala św. Łazarza. Pisywał sprawozdania w zakresie swej specyalności.

Odpowiedzi Redakcyi.

Ciekawej w Kołobrzegu. Laura Marholmowa jest z pochodzenia dunką, żoną Oli Han ona, którego dzieła z rękopisów tłomaczy na język niemiecki. Sama pisuje po niemiecku, gdyż mową tą włada doskonale. Drukowany w piśmie naszem *Przyczynek do psychologii kobiety* jest urywkiem z pracy obszernej (na 12 arkuszy druku), jeszcze nie wydanej w całości (którą p. M. Posner-Garfein spolszczy wkrótce całkowicie). Większych utworów nie ogłosiła. Pisuje wybitne oceny krytyczne, drukowane w miesięcznikach niemieckich.

— Za pośrednictwem *Prawdy* ubogi ojciec studenta uniwersytetu kołacze do miłosierdzia publicznego o 25 rs. na wpis dla syna.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 5 Августа 1894 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.